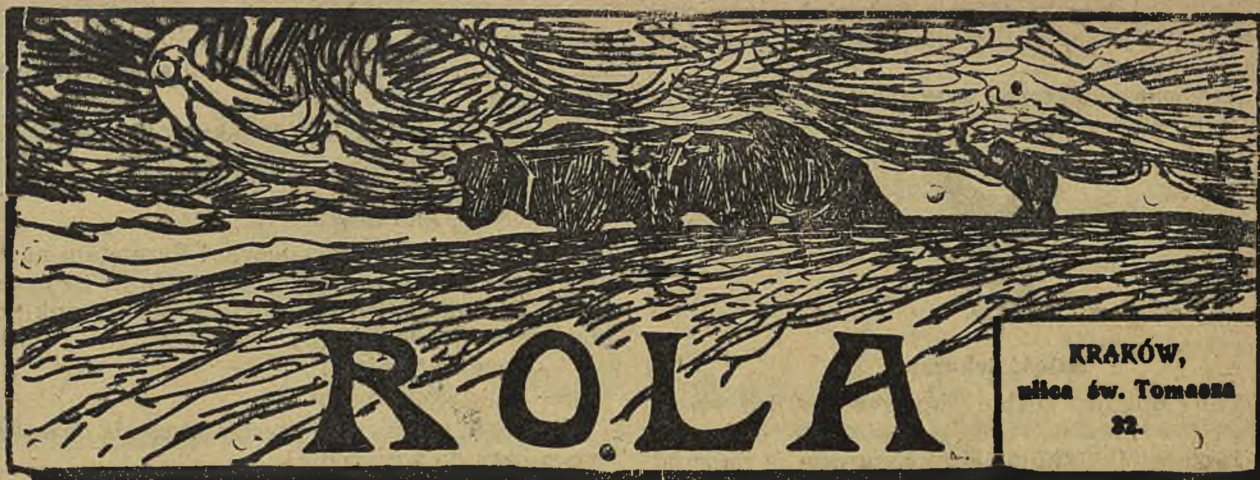
Numer 44. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 30 Października 1927



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnego adresu pod jakim „Rola“ przychodziła, abyśmy mogli dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Dobra rada.

— Przy pańskim kaszlu nie powinien pan więcej pić wina, ani piwa, ani wódki; również powinien przestać pan palić.

— Ach, panie doktorze, to w takim razie pozostanie mi tylko sam kaszel!



Miłość lekarza.

— Pan doktór kocha zapewne bardzo swoje dzieci?

— Jeszcze jak! Zanim je biję, zawsze je naprzód chloroformuję.



Nasze dzieci.

Nauczyciel: — Kret zjada dziennie tyle pożywienia, ile sam waży.

Mały Wicio: — Panie psorze! a skąd kret może wiedzieć, ile on waży?

Na kłamcę — niema rady.

Na fachowego kłamcę niema rady. Mój Józek zakłamany jest do tego stopnia, że nawet prawdę zmyśla. A co dopiero, gdy zacznie fantazjować. Pytam go wczoraj:

— Józiu, wrzuciłeś do skrzynki list, który ci dałem?

— Wrzuciłem.

— Józiu, kłamiesz!

— Ależ wrzuciłem napewno! Pamiętam nawet, że na poczcie kupiłem markę, taką różową za 20 groszy, potem nalepiłem, i list wrzuciłem do skrzynki, do takiej czerwonej skrzynki...

— Józiu, kłamiesz!

— Więc zapewniam cię...

— Józiu kłamiesz! Przecież ja ci nie dawałem żadnego listu do wrzucenia!

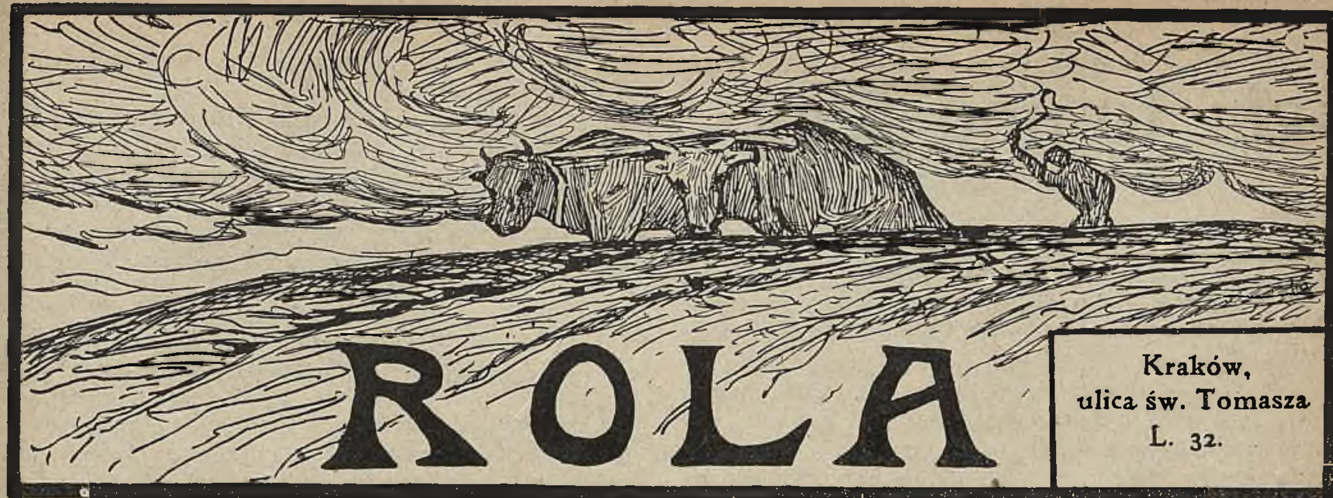


Kto miał rację?

Żona: Ach, ty pijaczyno, dopiero o świcie wracasz do domu?

Mąż: Ko-ko-cha-cha-na żo-o-o-no, a gdybym był był w domu, to czyżby teraz nie świtało?

Numer 44. X. Rok Kraków, dnia 30 Października 1927



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.



Dzień Zaduszny.

Codziennie w pacierzu powtarzamy słowa: »świętych obcowanie«, a niejeden z nas nie wie, co słowa te oznaczają. Wprawdzie wyjaśniają to kapłani w szkołach i z ambon, ale słowa ich często przelatują pomimo naszych uszu i dlatego nieraz nawet człowiek inteligentny nie umie słów powyższych wytłómaczyć. A mimo to wierzymy w nie i do nich się zastosowujemy. Dowodem tej naszej wiary to właśnie Dzień Zaduszny. W dniu tym czynem okazujemy, że łączność nasza z ludźmi, którzy zeszli z tego świata, nie skończyła się z chwilą ich śmierci, ale trwa nieprzerwanie i trwać będzie po wieczne czasy. Wszak uznajemy tę łączność bezwzględnie, modląc się za dusze ludzi zmarłych, lub też modląc się do świętych, którzy tu na ziemi byli takimi samymi ludźmi, jak my jesteśmy. Tak samo święci w niebie jak i ci co jeszcze w czyśćcu pozostają, modlą się za nas do Pana Boga i ta właśnie łączność pomiędzy nami a duszami tych, którzy już pomarli nazywa się „świętych obcowaniem". Wprawdzie my nie jesteśmy świętymi, ale ponieważ tu chodzi o rzeczy święte, więc też nic nadzwyczajnego, że łączność naszą z duszami zmarłych nazywamy obcowaniem świętych.

Jakkolwiek przez rok cały to obcowanie trwa, to przecież najjaśniej występuje w dzień Wszystkich świętych i w Dzień Zaduszny.

Wiara w życie pozagrobowe dusz naszych jest tak stara, jak świat. Wierzyli w nie żydzi, wierzyli i poganie. Modlono się, jak kto umiał, za dusze zmarłych i urządzano na ich cześć najrozmaitsze uroczystości. Kościół święty nie przeciwdziałał temu, ale owszem nakazał obchodzić je dalej, uświęcając je tylko po katolicku. Opat Kluniecki przeznaczył w 998 r. na uroczystości owe dzień 2 listopada.

Zapewne, że nigdy w roku ludność nie wygląda poważniej i smętniej, jak w owym dniu. Już w wigilję przejmują do głębi żałobne nieszpory i ów katafalk w oczach ludu wznoszony na środku kościoła. A podczas procesji, gdy kapłan kropi święconą wodą, kogóż nie przejmie dreszcz na te słowa: „Dzień on dzień gniewu Pańskiego".

Nazajutrz, to jest w sam Dzień Zaduszny, snuje się od rana zamyślony lud po kościołach, lecz zamiast pogańskich uczt i pijatyk na grobach katolików modli się wspólnie za nich, aby im Bóg darował kary czyścowe. Każdy rozdaje biednym jałmużnę, na jaką go stać, aby ci modlili się za zmarłych.

Kapłani w pośrodku wiernych swych braci wznoszą za dusze zmarłych najczystszą ku niebu ofiarę, modlą się i innych do modlitwy zachęcają.

Wśród ludu w niektórych okolicach krążą bardzo ładne podania o Dniu Zadusznym. Opowiadają naprzykład, że dusze zmarłych o jednej godzinie zbierają się razem do parafjalnego kościoła, gdzie na modlitwie krótkie chwile spędzają, wolne będąc od mąk, jakieby przez ten czas cierpieć musiały.

W innych stronach krąży podanie, że w dniu tym około północy same światła zapalają się w kościele, organy zaczynają grać, a zmarli śpiewają nabożne pieśni. Za chwilę wychodzi duch zmarłego księdza i odprawia Mszę św. Nikt z żywych nie śmie zakłócić ich modlitw.

Oczywiście w podaniach tych niema ani słowa prawdy, a przytaczamy je dlatego, aby okazać, jak silną jest wiara w życie pozagrobowe.

WALERY PRZYBOROWSKI.

Było to pod Jeną...

(Opowiadanie legjonisty).

V.

Tak więc szczęśliwie wydobyłem się z rąk pruskich. Że byłem z tego zadowolony, czyż potrzebuję mówić? Grześ, który widocznie miał pewne obawy, czy uda nam się przejechać granicę, i dotąd zachowywał głębokie milczenie, teraz, gdyśmy już byli za kordonem i komory pruskiej nie było widać, bo ją zasłonił przed nami stary i gęsty las Wawerski, odetchnął sobie głęboko, konie pędzące nieomal cwałem, wstrzymał, i dozwoliwszy im posuwać się lekkim truchcikiem, obrócił się do nas i rzekł:

— No, już nam tera Śwaby nic nie zrobią. Prawda?

— Prawda.

— Ażem się spocił.

— Czego?

— Ano, niby to panicz nie wiedzą. Pewnikiem i u panicza dygotało na wnętrzu.

— Nic mi nie dygotało.

— Ale! niby to ja nie wiem. Ale ju tera wszyćko dobrze. Po prawdzie, to te Śwabiska strasznie są głupie. Bo przeciec musieli na komorze słyszeć strzelanie. Po lesie to się rozlegało, nikiej pioruny biją, a oniby nie słyszeli? I jak obaczyli nas jadących, toć przecie musieli zmiarkować, co się święci. A oni udali, że nic nie wiedzą i puścili nas.

— Udali, bo wzięli pieniądze. Czyś tego nie widział? — zapytał Tuliński.

— Nie widziałem!

— Hm! zdaje mi się, Grzesiu, żeś ty trochę tchórzem podszyty — dodał Tuliński.

— Ano... patrzałem jeno na konie, ale tera w legjonach Śwabów prać będziewa, Matko Przenajświętsza!

Ja słuchałem tego wszystkiego w milczeniu i choć byłem bardzo zadowolony, żeśmy się tak szczęśliwie wymknęli, jednakże z drugiej strony smutno mi było, żem śmiercią Hillera okupił moją wolność i możność przedostania się do legjonów. Zawszeć ten Hiller, choć Niemiec, był człowiekiem.

Poczciwy Tuliński odprowadził mię aż do Garwolina. Gdyśmy, dobrze koło południa, zatrzymali się w tem miasteczku dla odpoczynku i popasu, Tuliński rzekł:

— Józik, tu cię pożegnam. Trzeba wracać do Warszawy i dowiedzieć się, co się tam dzieje. Ale to nie na długo. Tylko patrzeć, jak to samo, co i ty, zrobię. Jeno się z ojcem zobaczę.

— I dobrze zrobisz. Ale, Franek, jak powrócisz do Warszawy i przepatrzysz wszystko, napisz-że mi zaraz, co się tam stało i co mówią.

— Chętnie pisać będę, ale najprzód nie jest rzeczą bezpieczną posyłać pod twoim adresem listy. Niemcy zobaczą, list przeczytają na poczcie i mogą mi narobić ambarasu. A potem dokądże ja pisać będę? gdzież cię moje listy znajdą? przecież ty w jednem miejscu siedzieć nie będziesz?

— To prawda, ale ja myślę, że najlepiej adresować do Strasburga, do Tadzika Skalskiego. Jak przyjadę do Strasburga, do nikogo innego, tylko do niego się zgłoszę, bo jego jednego znam, i list, jeżeli będzie, odbiorę. Tam więc pisz.

— Dobrze! napiszę zaraz, jak wrócę i przepytam się o wszystko.

— Może Bóg da, że rana Hillera nie jest śmiertelną. Ucieszyłoby mię to bardzo, boć mieć na sumieniu życie człowieka, zawsze jest ciężko.

— Głupstwo! Ty się tem nie martw, bo to sensu za grosz niema. Jak wstąpisz do legjonów i wielki Napoleon poprowadzi was na Szwabów, to niejednego Niemca życie będziesz miał na sumieniu.

— Tak, ale to będzie wojna.

— A tutaj był pojedynek, według wszelkich reguł przeprowadzony. Wszak i Hiller mógł cię zastrzelić?

— A mógł.

— Widzisz! Jeżeli się tak stało, to dlatego, że Pan Bóg tak chciał. Jednem słowem niema o czem gadać. Co do Hillera, wątpię, żeby się wylizał, choć te chycle Niemcy mają twardą duszę, ale dostał kulą w piersi. Ale mniejsza z tem. Gadajno, gdzie ty myślisz przeprawić się przez Wisłę?

— Myślę, że najlepiej będzie w Puławach.

— I ja tak myślę i dobrze zrobisz, jeżeli wstąpisz do księcia Adama Czartoryskiego.

— Kiedy ani ja jego, ani on mnie nie zna.

— To nic nie znaczy. Szlachcic jesteś i masz prawo wszędzie, gdzie ci się żywnie spodoba wstępować.

— Co ty gadasz, Franek? jakże to można kogoś nieznajomego najeżdżać!

— Do Puław wszyscy wstępują. Nikt się temu nie dziwi. Taki już jest obyczaj.

— Ale pocóż ja tam mam wstępować?

— Po to, żeby się pokłonić księciu jenerałowi, a potem on ci może dać listy, żeby cię wszędzie przez kraje cesarskie przepuszczano. On jest przecie feldmarszałkiem cesarskim i jego pismo tyle znaczy, co samego cesarza.

— Hm... dobrzeby to było, ale...

— Niema żadnego ale... Wstąpić musisz i powinieneś. Jedziesz bez paszportu i lada jaki urzędnik cesarski może cię zatrzymać i zapytać: „A dokąd to waćpan? Pas masz?“ Cóż mu powiesz? A jak będziesz miał pismo książęce, to mu zaraz pokażesz i Niemiec dudy w miech i przepuści cię natychmiast i jeszcze ci kłaniać będzie do kolan. Obaczysz, że tak będzie. Ja to wiem. Dąbski gada, że ja głupi, a ja więcej wiem od niego. Powiadam ci, Józik, że do Puław, do księcia feldmarszałka wstąpić trzeba koniecznie.

— Jużcić dobrze radzisz, ale jakże to zrobić? Sam przecie, nieznajomy nikomu, nie mogę wprost pójść do księcia i powiedzieć mu: Dawaj, mości panie, pismo, bo jadę do legjonów. Żeby mię miał kto zarekomendować, to co innego...

— Czekajno... jeno się zastanowię. Że mi też to zaraz do głowy nie przyszło. A przecie tam jest nasz dobry znajomy, Leoś Dembowski... Ale co tam Leoś! A książę Dominik Radziwiłł? Pamiętasz, jakeśmy to, dwa lata temu, konno wjeżdżali po schodach do jego pałacu na Krakowskiem Przedmieściu?

— Pamiętam doskonale.

— A więc oni obaj są w Puławach, bo to tam książę feldmarszałek jest jakimś ich opiekunem, czy coś podobnego. Nic nie pytaj, zajeżdżaj wprost do pałacu, do księcia Dominika, albo Leosia Dembowskiego, opowiedz im wszystko, a oni ci już całą sprawę załatwią. Będziesz miał pismo i przejedziesz bezpiecznie przez wszystkie kraje cesarskie, a nikt cię nie ośmieli się zaczepić nawet. No co? nie dobrze radzę?

— W istocie, dobrze, i tak zrobię.

Takeśmy sobie gadali, a rada poczciwego Franka wydała mi się ze wszech miar dobra i postanowiłem z niej skorzystać.

Pożegnałem się wreszcie z Frankiem, który wynajął sobie bryczkę żydowską i ruszył do Kuflewa, dla zatarcia, jak mówił, za sobą śladów. Ucałowaliśmy się ze sobą serdecznie, a poczciwy Tuliński aż się spłakał i ciągle gadał, szlochając:

— Niech cię Bóg prowadzi, Józik, i da wszelkie pomylności. Zobaczysz mnie niedługo... chyba, że mię Niemcy gdzie zaprzepaszczą. Do widzenia więc i pamiętaj zawsze, żeś Polak i szlachcic.

Z przykrością i żalem rozstałem się z Frankiem. Okazał mi on w ostatnich dniach mego pobytu w Warszawie tyle przyjaźni i serca, dał mi tak skuteczną pomoc, że całe życie byłem mu za to wdzięczny. Długo patrzyłem na jego bryczkę, oddalającą się z zajazdu w Garwolinie, przesyłałem mu znaki pożegnania chustką, aż wreszcie chmura kurzu zakryła przedemną ostatniego mego przyjaciela i ostatnią nić, wiążącą mię z Warszawą.

Czy jeszcze ujrzę kiedy tę Warszawę, mimo wszystko tak ukochaną przezemnie? Bóg to jeden wie... Rzucałem się w przyszłość ciemną, burzliwą, niepewną, ale ta przyszłość rozświecona była błyskami sławy, wielkich czynów.

— A więc, w Imię Boże, naprzód!

Ponieważ konie odpoczęły sobie dobrze i nakarmiły się do syta, a Grześ, najadłszy się w zajeździe jajecznicy z kiełbasą, wyspał się na bryczce, więc kazałem zaprzęgać.

— A dokąd my teraz, paniczu, pojedziemy? — pytał Grześ.

— Do Puław.

— Daleko to?

— Nie wiem.

— A którędy się jedzie!

— Nie wiem.

— Hm!... to jakże jechać? Trza się ludzi rozpytać o drogę. Jak się to ta wieś nazywa?

— Puławy.

— Ki licho... nie słyszałem. Ale rozpytać się trzeba.

Rozpytał się tedy o drogę i około godziny czwartej po południu ruszyliśmy samowtór do owych zaczarowanych pałaców puławskich.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Grób żołnierza.

Pochowali go do ciemnej mogiły,
Ani mu w drodze dzwony dzwoniły.
Ani płakała nad grobem macierz,
Koledzy tylko zmówili pacierz.

Śpij żołnierzyku w tym ciemnym grobie,
Niech wolna Polska przyśni się tobie;
Co rok w pogodny, majowy wieczór,
Nucić ci będzie piosnkę ptaszął chór;

Może dziewczęta z bliskiego sioła,
Stroić ci będą grób w kwiaty, zioła?
A za lat kilka na twoim grobie
Dziewczyna wianek uwije sobie.

Z kwiatów co z kości twoich wyrosną,
Co będą kwitły co roku, wiosną.
Mój żołnierzyku, czyś się spodziewał,
Że tu pod dębem będziesz spoczywał?

Siedząc na rękach swojej matuli,
Że padniesz w boju od wrażej kuli?
Że świst kul żegnać cię będzie z światem,
Czy pomyślałeś ty kiedy nad tem?

Walek Kowalczyk.



MACIEK BZDURA GADA:

Już cosik ze dwa lata gadają starzy ludzie, że pan Marsałek w Warsiawie rozpędzi sejm na śtyry wiatry i każe nowych posłów wybierać. A że to w kużdej bajce jest trochę prawdy, więc trzeba się spodziewać, że lada miesiąc pójdą nasi posłowie na zieloną trawkę i skońcy się ich panowanie. I widzi mi się, że to będzie całkiem słuśnie. Bo lacego, pytam ja się, jak się mi nie chce robić i nie robię nic, to mi gosposia zryć nie dadzą. Lacego, jak Kaśkę wezną ciągoty i nie chce się jej pójść krowom ogonów obetrzyć, to także jej gosposia ani mizernej poliwki powąchać nie dadzą. A lacego znowu taki jeden, cy drugi, alibo i trzeci poseł, choć nie siedzi w Warsiawie, ino we wsi zimiaki kopie, to w kużden miesiąc przywozi z Warsiawy całą furę nowiusieńkich papirków, że aż ocy bolą na nie patrzyć.

Wprawdzie powiadają ludzie, że jednemu noże golą, a drugiemu brzytwy nie chcą, ale pytam ja się znowu, bez co jem mają noże golić, a mnie i Kaśce ani brzytwa nie? Kiedy ma być równość, jak to kużden poseł na wiecach powiada, to niechże będzie taka prawdziwa równość, a nie papirowa. Jak ja abo Kaśka nie robiwa, to nam gosposia zryć nie dają, to niechże także tak będzie i w Warsiawie, że jak panowie posłowie nic tam nie robią, to niech i złociaków za próżnowanie nie biorą. Jakby była prawdziwa równość i sprawiedliwość, to onoby tak powinno być, a nie inacej.

I zdaje mi się, że już od pojutrza tak będzie, bo gazyciarze powiadają, że lada miesiąc Pan Piłsudski nase poślątka rozpędzi na śtyry wiatry, a te piniądze, które oni brali, obróci na kościół Opatrzności Boskiej w Warsiawie. I bez parę tygodni nie będzie ani pana prezesa od endeków, ani chadeków, ani od Wyzwolenia, ani od Piasta, ani od socjalików, ani od żadnych inksych, które są, i których nima, ale będą znowu takie same Ignace, Wicki, Kaspry, cy jakie inse, jako ja jestem Maciek Bzdura. I znowu bez parę tygodni zapanuje w całym kraju prawdziwa wolność i prawdziwa równość, bo cy to na jarmarku, cy przy kościele nie trzeba będzie przed takiem jaśnie posłem z Zatracony Wsi stać z kapelusem w garści, ale sobie go założyć i patrzyć na nieboscyka posła z miną: co mi zrobis.

Bo może nie wszyscyście widzieli w swojem życiu posła, a przecie to stworzenie warto widzieć. Bo co inksego kandydat na posła, a co inksego sam poseł. Bo taki jeden cy drugi pajtała, nim wam zostanie posłem, to taki pokorniutki, jakby go dwie krowy ssało, ale potem... ranyściewy! Wyglańcuje se buty dziegciem, okręci syje w krawatkę, na głowę wsadzi dętego i całą swoją figurą zdaje się powiadać: klękajcie narody! Ta i cłek się boji, bo co robić, przecie to poseł, którego, jak powiada, wola narodu posłem zrobiła. Bo przecie żaden z nich nie przyzna się do tego, ile on tam przed wyborami nałgał i ile nacyganił. A choćbyś mu to i przypomniał, to się wyprze w żywe ocy i jesce kryminałem zagrozi. A jakbyś

mu to do rodzonych ślipiów powiedział, to ci odpali, żeś ty przecie nie głosował na niego, ino na lumerek, to się cypiaj lumerka, a nie jego.

Co prawda, to ludzie trochę zmądrzeli i powiadają, że już teraz nie będą wybirali takich gamoniów do sejmu, jak przed pięciu laty, ale mnie się widzi, że oni zmądrzeli ino tak na niby i dotąd, póki nie zacną się wybory. A jak się zacną i przyjedzie do wsi taki jeden i drugi wyscekany pyskac, to mu tak samo będą wierzyli, jak przed pięciu laty i pewnikiem ani jeden nie da głosu ani na mnie, ani na Kaśkę, ani nawet na mojego gospodarza. W tem ino cała nadzieja, że jak Pan Marszałek zuźry, jaki mu tam towar przyślą, to znowu weźnie bata i rozgoni wszyćko na styry wiatry.



Węgiel kamienny.

Wieś wogóle, a w szczególności wieś polska, mało zużywa węgla, a więc mało z nim ma do czynienia i mało się nim interesuje. Sądzę jednak, że czytelnicy „Roli" przeczytają ten ustęp o węglu kamiennym z uwagą i zaciekawieniem, aby chociaż zgrubsza zapoznać się z tym niesłychanie ważnym surowcem, który dziś jest i długo jeszcze będzie głównem źródłem energji świata. Każde dziecko niemal wie dzisiaj, że węgiel pali się pod kotłami parowozów kolejowych i okrętów oceanicznych, że porusza fabryki i elektrownie, że obsługuje huty, gazownie i wszelkie zakłady przemysłowe; że przez to jest podstawą całego światowego przemysłu, a więc i źródłem wielkich dochodów i bogactw. Nie darmo nazwano go „czarnym djamentem". Obowiązkiem każdego światłego człowieka jest wiedzieć o nim coś więcej niż to, że się nim w piecu pali.

Węgiel, jak wiadomo, znajduje się w ziemi. Kopie się go w kopalniach, zupełnie podobnie jak sól, tylko że w ilościach bardzo wielkich. Kopalnie całego świata dostarczają rocznie około 1300 miljonów ton (tona = 1000 kilogramów) węgla. By sobie uzmysłowić, jak to jest dużo, przypuśćmy, że wszystek ten węgiel został zesypany na jedną kupę. Powstałaby z tego góra, długa u podstawy i szeroka na kilometr, a wysoka na 1200 metrów. Corocznie taką górę wydobywają górnicy z ziemi, a koleje i okręty rozwożą na użytek całego świata.

Zapyta teraz ktoś, czy przy tak olbrzymiem zużyciu węgla nie zachodzi obawa, że pokłady w ziemi wnet mogą się skończyć. Pytanie bardzo słuszne i nad niem zastanawiał się w roku 1913 międzynarodowy Kongres geologiczny. Zebrani tam uczeni i inżynierowie oszacowali pokłady węgla na całym lądzie kuli ziemskiej na 7,397,550,000.000 ton, to znaczy: 7 biljonów, 397 miljardów, 550 miljonów ton. Jest to tak dużo, że jeżeli corocznie kopalnie całej ziemi będą dostarczać 1300 miljonów ton, to węgla wystarczyć powinno na 5690 lat. Niema więc zupełnie obawy, by węgla naszym fabrykom i kolejom mogło zabraknąć.

Jakie pokłady węgla posiadają różne części świata, to nam podaje następująca tabelka:

Ameryka Północna	5,073.430	miljonów	ton
Azja	1,279.580	„	„
Europa	784.190	„	„
Australja i Oceanja	170.410	„	„
Afryka	57.840	„	„
Ameryka Południowa	32.100	„	„

Z tabelki tej widzimy, że najbogatsze pokłady węgla ma Ameryka Północna, bo prawie 3 razy tyle, co cała reszta świata, a prawie 7 razy tyle, co Europa.

Dla nas najciekawszą jest Europa, bo w niej mieszkamy. Posiada ona zaledwie 10.6% całego światowego bogactwa węglowego, to jest niewiele więcej, jak jego dziesiątą część. Pokłady węgla w różnych państwach Europy podaje poniższa tabelka:

Anglja	250.940	miljonów	ton	= 32%
Niemcy	225.063	„	„	= 28.7%
Polska	104.297	„	„	= 13.3%
Republ. Ukraińska	84.692	„	„	= 10.8%
Czechosłowacja	84.857	„	„	= 4.7%
Francja	28.231	„	„	= 3.6%
Belgja	16.486	„	„	= 2.1%
Inne państwa	37.641	„	„	= 4.8%

Włochy, Szwecja, Danja, Holandja i Szwajcarja nie posiadają u siebie wogóle pokładów węgla.

Pouczająca tabelka powyższa mówi nam, że pod względem pokładów węgla stoi Polska w Europie na trzeciem miejscu. A ponieważ rocznie nasze kopalnie dostarczają 36 miljonów ton węgla, pokłady nasze winny wystarczyć na 2897 lat.

Polskie kopalnie węgla znajdują się w trzech zagłębiach, czyli okolicach w węgiel bogatych: Zagłębiu śląskiem, dąbrowskiem i krakowskiem. Najbogatsze jest Zagłębie śląskie; ma ono 53 kopalń czynnych i dostarcza 74%, czyli prawie 3/4 węgla, produkowanego w Polsce. Zagłębie dąbrowskie, mniej bogate, dostarcza 20%, a Zagłębie krakowskie tylko 6% ilości, w Polsce wydobywanej. A wogóle we wszystkich zagłębiach pracuje u nas 109.500 górników i robotników (lipiec 1927).

Jak już powyżej mówiłem, roczna produkcja węgla kamiennego w Polsce wynosi około 36 miljonów ton. Jest to ilość tak duża, że kraj ani połowy nie spala. Tak naprzykład w r. 1926 koleje polskie zużyły 2,843 tysięcy ton, a fabryki i mieszkańcy — 13,830 tysięcy ton. Pozostałoby nam więc niepotrzebnie blisko 20 miljonów ton. Ale Polska wywozi węgiel zagranicę i w r. 1926 wywieźliśmy 14.5 miljonów ton, tak, że w zapasie pozostało tylko coś 5 miljonów ton. Jeżeli za tonę węgla będziemy liczyć 50 złotych, to w roku zeszłym za sam węgiel, sprzedany zagranicę, państwo otrzymało 725 miljonów złotych.

Węgiel polski idzie głównie do następujących krajów: Austrja, Szwecja, Danja, Włochy, Węgry, a nadto w ilościach mniejszych: Gdańsk, Jugosławja, Łotwa, Litwa, Finlandja i Rumunja. Dawniej wysyłaliśmy wielkie ilości węgla i do Niemiec, od paru lat jednak Niemcy od nas węgla nie kupują, chcąc w ten sposób szkodzić naszemu górnictwu węglowemu. Początkowo istotnie kopalnie nasze nie miały co robić z węglem, musiały ograniczać produkcję i zwalniać robotników. Stan ten prędko się jednak zmienił; dziś i bez handlu z Niemcami kopalnie pracują całą parą, a węgiel nasz sprzedajemy w coraz większych ilościach innym państwom. Sprzedajemy go tyle, że ani za wywiezione zboże, ani za naftę, ani za bydło nie przychodzi do kraju tyle pieniędzy, co za nasz „czarny djament".

Po.

TADEUSZ KOŚCIUSZKO.



Żywią i bronią.
Napis na chorągwi Kosynierów dany przez T. Kościuszkę.

W październiku bieżącego roku serce Kościuszki zostało przewiezione z Szwajcarji do Warszawy i tam już pozostanie prawdopodobnie na zawsze. Dlaczego w Warszawie a nie w Krakowie, gdzie spoczywają prochy wielkiego Naczelnika narodu, nie wiadomo. Wprawdzie relikwje świętych dzielą na cząsteczki, aby nimi obdzielić jak najwięcej kościołów, ale to nic dziwnego, boć szczątki świętych są całemu światu drogie i każdy naród katolicki pragnie mieć ich choć maleńką drobinę dla siebie. Tymczasem śmiertelne szczątki Tadeusza Kościuszki są skarbem wielkim, ale tylko dla narodu polskiego, nic też więc dziwnego, że pragniemy je mieć pomiędzy sobą. A mniejsza już z tem, gdzie one będą: w Krakowie, czy w Warszawie, w Poznaniu, czy Wilnie, byleby były pómiędzy swymi, t. j. pomiędzy Polakami. A ponieważ prochy Kościuszki spoczywają na Wawelu, naturalną więc rzeczą byłoby, aby i serce jego zostało umieszczone na tym samym Wawelu.

Z okazji sprowadzenia serca Kościuszki do Polski chcemy przypomnieć parę szczegółów z życia bohatera z czasów przed wystąpieniem w roku 1794, szczegółów, które może niejednemu z naszych Czytelników nie są znane.

Tadeusz Kościuszko urodził się w roku 1746 w Mereszczowszczyźnie nad Bugiem niedaleko Brześcia,



Dom rodzinny T. Kościuszki w Mereczowszczyźnie na Litwie.

w okolicy, gdzie od wieków blizko siebie mieszkali Polacy, Litwini i Rusini. Jego rodzinny dworek widzimy na obok umieszczonym obrazku. Kościuszko pochodził z rodziny ruskiej Kostiuszków, osiadłej zdawna na Litwie, która posiadała szlachectwo polskie i herb Roch III, wyobrażający trzy belki poziome. Ojciec Tadeusza Ludwik służył wojskowo, jako pułkownik, później wrócił do rodzinnej wioski, gdzie umarł już w roku 1758.

Tadeusz uczył się najpierw w konwikcie OO. Jezuitów w Brześciu, potem w szkole rycerskiej kadetów, którą chlubnie ukończył z stopniem kapitana. Było to w chwilach najsmutniejszych dla naszego kraju: po pierwszym rozbiorze Polski. W zmniejszonem liczebnie wojsku polskiem nie znalazło się miejsca dla Kościuszki! Nieszczęśliwa miłość dla Ludwiki Sosnowskiej, która oddała za wolą rodziców rękę Józefowi księciu Lubomirskiemu, skłoniła go do opuszczenia Ojczyzny. Udał się daleko, bo aż za morze, do Ameryki, gdzie właśnie wrzała wojna o wolność.

Kościuszko, który kochał wszystkich zacnych i prawych ludzi, a nienawidził niewoli, ofiarował pomoc i zdolności swoje Amerykanom, którzy powstali przeciw rządom Anglików. Chociaż znalazł się wśród nowych, nieznanych sobie stosunków i na obcej ziemi, odznaczył się wkrótce, jako znawca sztuki wojennej, zwłaszcza zaś w budowie twierdz i obronnych obozów. Otrzymał tutaj tytuł generała i wysokie odznaczenie, oraz dożywotnią płacę roczną.



Tadeusz Kościuszko.
Rysował z natury A. Orłowski w Połańcu 1794 r.

Z takiem świadectwem powracał w roku 1784 po ukończonej już wojnie amerykańsko-angielskiej do Polski. W Polsce po pierwszym rozbiorze miało się wszystko ku lepszemu. Ale jeszcze przez kilka lat czekał Kościuszko w rodzinnej swej wiosce, w której uprawiał swą rolę, jak każdy ziemianin, a nadto starał się o ulżenie doli ludu sobie poddanego, odwiedzał i pouczał sąsiadów, jak należy służyć krajowi. Dopiero, kiedy Wielki Sejm w roku 1789 uchwalił pomnożenie wojska, król powołał Kościuszkę w szeregi wojska narodowego, do którego wstąpił w randze generał-majora. Na naszym obrazku na stronie 6 widzimy go właśnie w mundurze generalskim z owych czasów.

Jako generał przebywał wówczas w Włocławku, Lublinie i Międzybożu. Myślał wtedy o zawarciu związku małżeńskiego z Teklą Żurowską, ale niebawem sprawy narodowe wzięły inny obrót, a Kościuszko miał im służyć z orężem w ręku. W rok po wiekopomnej Konstytucji 3 maja Rosja, widząc, że Polska dźwiga się z upadku, że może stać się potężnem państwem, wypowiada jej wojnę, a wojska rosyjskie wkraczają w potężnej sile od strony Ukrainy. Pod wo-

dzą księcia Józefa Poniatowskiego pospieszyła młoda armja polska stawić opór przemocy i broniła się dzielnie, dokazując cudów waleczności. We wszystkich bitwach i potyczkach, w których nieprzyjaciel zagrażał oskrzydleniem, odcięciem lub otoczeniem, gdzie zatem była sprawa najtrudniejsza, działał Kościuszko. On to pod Dubienką nad Bugiem odparł natarcie nieprzyjaciela. Chociaż zaś wojska nasze ostatecznie musiały ustępować, ponieważ król, człowiek słabej woli, uległ wpływom złych obywateli i przystąpił do Targowiczan, sława jednak tej wojny związała się z nazwiskiem Kościuszki.



Tadeusz Kościuszko
w mundurze generała wojska polskiego.

Po wojnie w roku 1792 złożył Kościuszko urząd wojskowy i wyjechał z kraju, zatrzymując się po drodze w Sieniawie, Zamościu i we Lwowie.

Z tych czasów przedstawia go nasz pierwszy portret rysowany z natury w Połańcu przez malarza Orłowskiego

A kiedy znów wybuchło powstanie po drugim rozbiorze Polski w 1794 r. stanął na jego czele Kościuszko, aby bić zwycięsko wroga pod Racławicami i dalej, póki nie padł ranny pod Maciejowicami i nie dostał się do niewoli rosyjskiej.

Dla zaokrąglenia całości dodamy, że pierwszy nasz obrazek przedstawia kosyniera, trzymającego chorągiew z Orłem polskim i z napisem na drugiej stronie: „Żywią i bronią“. (Ciąg dalszy nastąpi).



Poradnik gospodarczy.

W jesieni nie należy paść bydła na okrytej szronem koniczynie, gdyż powoduje to wzdęcia i poronienia. Pasza, okryta szronem, jest bardzo niezdrowa, należy jej unikać i wypędzać bydło na pole, gdy się ociepli. Korzysta się z paszenia bydła, jak długo tylko trawa odrasta i pogoda pozwala, następnie bydło przechodzić powinno na paszę zimową, ale to przejście powinno być nieznaczne, aby nie wywołać u bydląt poważnych zaburzeń żołądkowych, a u krów zmniejszenia wydajności mleka. Jako powolne przejście z paszy zielonej do paszy zimowej czyli suchej, służą otrzymane w dużej ilości liście z buraków, kapusty, rzepy i różne mieszanki, których wysuszyć już nie możemy, zaś dołować nie chcemy. Pasze te musimy szybko spasać, gdyż inaczej gniją, i to nawet szybko, pozbawiając gospodarza dużej ilości paszy, którą możnaby rozumnie i dobrze zużytkować. Przy spasaniu powyższej paszy pamiętać należy, aby nie dawać jej bydłu naraz za dużo, gdyż zawiera dużo soli kwaśnych, wywołujących uporczywą biegunkę, przez co bydło chudnie i traci na wadze. Dodawać należy do zielonej paszy dobrego siana, słomy i okopowizn, jak buraków, marchwi, rzepy i ziemniaków z początku mało, później coraz więcej, aż powoli przejdziemy na paszę zimową. Tak powoli bydło przejdzie zmianę paszy bez szkody dla swego zdrowia i wyglądu.

Często w jesieni pojawia się u bydła zaraza racic i pyska. Zaraza ta objawia się tem, że na racicach i między nimi, jak również w pysku na wargach tworzą się bąble, które przechodzą w pęcherzyki pękające i wydające ropę, po wylaniu się której tworzą się w miejscu obolałem strupy, a te powoli się goją i odchodzą. Bydłu dotkniętemu tą chorobą źle jest chodzić i jeść, więc należy go w tym czasie otoczyć wielką opieką. Pamiętać należy, iż zaraza ta jest w wysokiem stopniu zaraźliwa i łatwo przenosi się z obory do obory, przeto należy bardzo unikać zawleczenia jej do swojej obory. Bydło dotknięte tą chorobą po kilku dniach przychodzi do siebie, ale traci na wyglądzie i wadze. Skoro się gdzieś zaraza pojawi, dać zaraz znać władzy, aby ta zarządziła środki zaradcze, aby zaraza lekkomyślnie się nie rozszerzała. Bydła nie należy wypędzać na wspólne pastwiska. Stajnię należy utrzymywać czysto i pobielić wapnem. Zachować wszelkie przepisy, aby nie roznosić zarazy lekkomyślnie.

Gdy stwierdzoną zostanie zaraza, aby choroby nie przewlekać, należy natychmiast zarazić zdrowe sztuki inwentarza, aby razem przechorowały, w tym celu wystarczy śliną chorego zwierzęcia posmarować pysk zdrowego, a to już jest zarażone. Nawóz z pod bydła chorego należy wyrzucać 2 razy dziennie i dawać obficie ściółki, zaś racice należy zmywać kilka razy dziennie ciepłą wodą z kreoliną (10 l. wody ciepłej, 1 l. kreoliny), dobrze jest, gdyby racice można wymoczyć w powyższym rozczynie, pyski myje się rozczynem słabszym, na 10 l. wody $1/_2$ l. kreoliny. W niektórych okolicach smarują bydłu racice smołą czyli dziegciem używanym do smołowania dachów z dobrym skutkiem.

W czasie choroby należy bardzo dbać, aby podawana pasza była lekko strawna i więcej płynna, należy wypełniać wszelkie zarządzenia władzy dokładnie, gdyż wtedy choroba przechodzi szybko i nie wyrządza tak dotkliwych strat spowodowanych zamykaniem targów na bydło w całych powiatach, a nawet województwach. Choroby zwierzęce są różne i liczne, mniej lub więcej niebezpieczne, zaraźliwe lub nie, mniej lub więcej łatwe do wyleczenia, ale każda z nich, choćby najlżejsza i najłatwiejsza do wyleczenia jest zawsze niepożądanym dla hodowcy gościem.

Zapobieganie chorobom jest łatwiejsze lub trudniejsze, zależne od ich rodzaju.

Najłatwiej zapobiegać chorobom nie zaraźliwym, powstającym z przyczyn łatwych do usunięcia, jak z przeładowania żołądka, niedostatecznego lub nieregularnego żywienia, z karmy niezdrowej lub źle przyrządzonej, z przeziębienia lub nadmiernej pracy.

Przezorny gospodarz powinien wszystkie przyczyny troskliwie usuwać i im zapobiegać. Trudniej zapobiegać chorobom zaraźliwym. Przyczyny chorób zaraźliwych nie są łatwe do odkrycia, gdyż wywołują je drobne istotki, których gołem okiem nawet widzieć nie można, a których w jednej kropli wody żyć może miljony. Istotki te dostrzegalne dopiero przez silnie powiększające szkła. Powstają one przez podział i bardzo szybko się rozrastają, o ile mają dogodne warunki.

Zarazki te, o ile się dostaną do krwi zwierzęcia, wywołują właściwe im choroby. *Jan Matysik.*

KLEMENS JUNOSZA.

Abraham Pinkt i Mateusz Sikora.

Chłop najobojętniej fajkę palił i milczał. W tej sytuacji niewesołej różnica temperamentów obu przyjaciół, ich usposobień i poglądów, uwydatniała się bardzo jaskrawo. Abram nie mógł ustać na miejscu; przestępował z nogi na nogę, dreptał, wzdychał, jęczał, klął, patrzył w górę, nadsłuchiwał, obmacywał ściany dołu... Mateusz zaś siedział nieruchomo, pociągał dym z fajeczki i z cierpliwością przedziwną czekał dnia i przybycia Kogucińskiego. Taką już miał naturę.

Nieraz zdarzało się, że potrzebował paszportu, i przyszedłszy o dwie mile drogi do gminy, dowiedział



Doszli do chałupki Kogucińskiego.

się, że pan pisarz pojechał i wróci dopiero wieczorem. Gdyby Abram, przyszedłszy do magistratu, miał takie zdarzenie, toby przedewszystkiem badał policjanta, woźnego, sekretarza, kasjera... dopytywałby się, kiedy burmistrz wyjechał? do kogo? po co?... dostałby się do kuchni, zapytał służącej pani burmistrzowej, dzieci pana burmistrza, piętnaście razy w ciągu dnia wpadłby się dowiedzieć, czy burmistrz nie przyjechał, czy przypadkiem nie przysłał depeszy albo listu, czy się nie zrobiła jaka odmiana? Mateusz wprost przeciwnie: siedział na progu, jadł chleb, palił fajkę, potem napił się wody ze studni, znów jadł chleb, znów palił fajkę — i tak do samego wieczora, a czasem i do rana oczekiwał.

Abram myślał sobie w duchu, że Mateusz jest głupi, cham nieokrzesany, że jego mózg śpi, a jeżeli się przebudzi, to tylko na to, żeby obmyśleć, w jakiem miejscu wnyki pozastawiać, albo ile za zająca zażądać.

— Słuchajcie-no, Mateuszu...

— Co?

— Czy wam się nie przykrzy tak siedzieć?

— Nie.

— Ja nie rozumiem. Mnie się zdaje, że wy macie taką kamienną naturę, że gdyby nawet śmierć przed wami stanęła, to wy nie wypuścilibyście swojej kochanej fajki od gęby...

— Wypuściłbym...

— Aj, aj, no, nie spodziewałem się po was takiej gwałtowności...

— Wypuściłbym fajkę dlatego, że skorobym wiedział, że mnie zaraz śmierć czeka, to mówiłbym pacierz i prosił Boga miłosiernego, żeby mi odpuścił grzechy...

— Alebyście się bardzo lękali?...

— Czego?

— Śmierci!

Chłop się roześmiał.

— Mój Abramie — rzekł, — nie wiem ja, jakie są wasze żydowskie stare zakony, ale podług naszego, śmierci się lękać ni godzi, a i niema też czego. Pan Bóg życie daje i Pan Bóg je odbiera, a przeciw woli Jego żaden mocarz nie poradzi. Niema się czego bać, bo naprawdę umiera tylko ciało, a duszę Pan Bóg bierze i podług zasługi sprawiedliwość jej wymierza. Dobra śmierć to jest łaska Boża, i każdy człowiek powinien się modlić, aby dobrze umarł.

Abram obruszył się:

— Co wy pleciecie dziwnego, mój Mateuszu. Małe dzieckoby tego nie powiedziało. Jakto: dobrze umarł? Co to jest? Kto kiedy niedobrze umarł?

— Oj, oj!...

— Fe, Mateuszu! dziwno mi, dalibóg. Wiadomo, że krawiec może źle uszyć kapotę, szewc sfuszerować parę butów, ale śmierć nie fuszeruje nigdy... jak kogo, broń Boże, zadusi to dobrze...

— Nie o takiej dobrej śmierci ja mówię.

— Ona zawsze jest niedobra... niech naszych wrogów spotka!

— Z woli Boskiej idąca.

— Nu, to prawda; ja nie powiadam, że inaczej... owszem, to od Pana Boga jest, to musi być; ale nie wiem, czy to taki dobry interes, żeby o nią prosić... Lepiej prosić o życie...

— Czy tak, czy siak, umierać trzeba...

Abram zadumał się.

Śmierć — myślał — pochodzi od Boga, tak jak i życie... ale człowiek życia pragnie, a śmierci nie pożąda. Kto nie chce żyć? kto się od śmierci nie broni? ktoby nie chciał uciec przed nieubłaganym jej aniołem, wykonawcą Boskich wyroków? Przecież nie tylko mali, zwyczajni ludzie, ale tacy wielcy, jak król Dawid, jak prorok Mojżesz, nie chcieli umierać. Abram czytał o tem dwie prześliczne legendy. Król Dawid wiedział, że umrze w sobotę — i anioł śmierci na próżno usiłował go zabić, aż dopiero za pomocą dowcipnego podstępu życie mu odebrał. Mojżesz groźno i z gniewem przemówił do anioła śmierci, nazwał go łapserdakiem i wcale nie chciał mieć z nim do czynienia, tak, iż sam Bóg zawołał do siebie tę duszę wielką i hardą... Tacy ludzie, a przecież nie chcieli umierać... cóż dopiero mówić o zwykłych, pospolitych żydkach... Czy dziwić się, że w czasie niebezpiecznej choroby wielu z nich zmienia imię swoje..., aby tem anioła śmierci w błąd wprowadzić? Każdy ratuje się, jak może... a ten głupi chłop gotów spokojnie czekać na śmierć, jak na pieniądze za skórkę, lub jak na paszport w gminie... Dziwny chłop... co się w jego głowie dzieje!... Ale oni wszyscy tacy sami. Zdarzyło się już Abramowi widzieć chorego chłopa, który ostatkiem sił wywlókł się na podwórko, aby wybrać suche deski na trumnę...

Abram chciał dysputować na ten temat, ale Mateusz nie odpowiadał wcale, zdrzemnął się, a może i usnął na dobre...

IV.

Długo oczekiwany świt przyszedł nareszcie. Konary drzew zarysowały się na szarem, zachmurzonem tle nieba, śnieg nie padał. Abram powitał tę chwilę z najwyższą radością i natychmiast zaczął budzić Mateusza.

— Nu, obudźcie się! — wołał, szarpiąc chłopa za ramię — dzień jak wół.

— Już?

— To jest ładne słowo to wasze „już...“ Widać spaliście doskonale, skoro tak prędko noc wam zeszła.

— A juści! — odrzekł Mateusz, ziewając.

— No, ruchajcie się teraz, radźcie co... już widno.

Mateusz wstał, przeciągnął się i myślał jakiś czas.

— Nu co? nu co? — pytał z niepokojem Abram.

— Ha, no nic.

— Jakim sposobem może być nic?... musi coś być...

— Bajki!

— Co to znaczy „bajki?“

— Żeby noc nie była taka ciemna, byłbym się wnet z tego dołu wydobył.

— A teraz?

— Zaraz wylezę.

— Nie będziecie czekali na Kogucińskiego?

Mateusz, nic nie mówiąc, wydobył z kieszeni nóż, zaostrzył nim kawałek gałęzi, znaleziony na dnie, i zaczął wybijać wgłębienie w ścianie dołu. Gdy ich zrobił kilka, dostał się po nich w górę, tak, że rękami dostał brzegu jamy. Tyle mu tylko było potrzeba. Uchwyciwszy się za wystający z ziemi korzeń, wzniósł się na rękach do góry i z wielką zręcznością na powierzchnię się wydobył.

— A ja?... a co ze mną będzie? — wołał Abram.

— Zaraz, zaraz... a! jaki to w gorącej wodzie kąpany!

— Zróbcie tak samo, jak ja.

— Nie potrafię; oj, Mateuszu, nie zostawcie mnie bez pomocy... poratujcie!

— A to niezdara! — mruczał chłop, i związawszy rzemień ze sznurem, spuścił go w dół.

— Obwiążcie się, albo bierzcie powróz do ręki... spróbuję was wyciągnąć; teraz, kiedy już widno, nie wpadnę.

Oparł się silnie o drzewo i dźwigał. Wtem nagle z poza drzewa dał się słyszeć gruby, basowy głos:

— A, dalibóg, Mateuszu, co za wiele to nie zdrowo... Przyjaźń przyjaźnią, a interes interesem. Mało wam dąbka, mało zajęcy, jarząbków, cietrzewi... teraz wam się zachciało wilka! Żebym tak zdrów był, nie dam! Mój dół i wilk mój!

Mateusz poznał od razu głos Kogucińskiego.

Nie odwracając się i nie puszczając sznura z rąk, rzekł:

— Bierzcie go, Janie; sprawiedliwie on wasz i ja z niego żadnej korzyści nie chcę mieć.

— A cóż wy żywcem go bierzecie? — zapytał Koguciński.

— Aha...

— Eh! to na nic... zastrzelić bestję i już... dużo on mi utrapienia i szkody narobił... takiego mi pieska dobrego zadusił, żebym za niego dziesięciu rubli nie chciał. Palnąć mu w łeb i już...

— A to palcie — odezwał się Mateusz.

Abram, który tę rozmowę doskonale słyszał, wrzasnął na cały głos:

— Panie Koguciński! nie bądźcie wy warjat! ja was proszę, ja Abram.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał gajowy — a to co?

— A to taki wilk — rzekł Mateusz. — Z wieczora szedł do was za skórkami, usłyszał, że gęś gęga, chciał ją wziąć i wpadł w jamę; ja przed północkiem szedłem do was, usłyszałem krzyk... chciałem żyda ratować i też wpadłem w dół. Siedzieliśmy w dole do świtu; teraz ja wydobyłem się i jemu pomagam, ale kaducznie ciężki.

Przy pomocy Mateusza i Kogucińskiego Abram wydobył się na powierzchnię. Otrzepał kapotę z ziemi i śniegu i rzekł:

— Nie spodziewałem się po panu Kogucińskim, że mi takiego figla zrobi.

— Alboż Abram jest wilk? Na was nie robiłem dołu.

— Ale zawsze... Kto widział, żeby w lesie urządzać takie interesa. Może przechodzić podróżny, dobry człowiek, najlepszy przyjaciel... pfe! Ja wam powiadam, że wy to wszystko robicie przez złość do żydów.

— Do żydów?

— No, a dlaczego na przynętę wzięliście gęś?

— A cóż miałem wziąć?

— Trzeba było użyć na taki interes taką malutką, całkiem malutką, za pozwoleniem... świnkę, to jabym w dole nie nocował, ani Mateusz też.

— A kto was tam wiedział, że się złakomicie — rzekł gajowy.

— Już przepadło — rzekł Abram; — co się zrobiło, to się nie odrobi; tymczasem, panie Koguciński, ja do was przyszedłem według tych skórek.

— Jak dobrze zapłacicie, to sprzedam.

— I ja też do was szedłem, Janie — dorzucił Mateusz.

Koguciński na niebo spojrzał.

— Jeszcze ludzie śpią — rzekł, — ale trzeba się śpieszyć. Abram, jak Abram... może u mnie w chałupie być; ale Mateusz... Niechnoby przypadkiem leśniczy albo rządca obaczył go w mojej stancji, toby mnie wnet na cztery wiatry przepędzili... a co prawda miejsce nie złe jest.

— Ja wam też, Janie, przeszkody robić nie chcę — odezwał się stary kłusownik; — cały mój do was interes to jeno według owego głupiego dąbka, co mi o niego sprawę zrobili.

— Niby jak?

— A no, żebyście, Janie, w sądzie nie opowiadali za dużo.

Koguciński śmiechem parsknął.

— Alboż mi to pierwszyzna? Nie bójcie się, Mateuszu, wyjdziecie ze sprawy czyści jak szkło... nic wam nie będzie. Ja nie głupi.

— Aj, panie Koguciński — wtrącił Abram, — ja wiem, wy na taki interes macie rozum, tylko na drożenie się ze skórkami to wy żaden rozum nie macie.

— Ja — rzekł Mateusz — nie będę was, Janie, dłużej frasował; pójdę sobie lepiej wprost do domu, żeby nie było na was jakiego posądzenia... a wy z Abramem handle swoje prowadźcie.

Nie bardzo Koguciński zatrzymywał Mateusza, gdyż, bądź-co-bądź, dla gajowego, jako dla stróża lasów, towarzystwo kłusownika i rabusia leśnego jest do pewnego stopnia kompromitujące. Co w sercu, co w myśli — to swoja rzecz, ale dla oczu ludzkich potrzebnem jest „decorum“. Pies nie będzie się przyjaźnił z kotem, ani wilk z barankiem... wobec ludzi wrogami trzeba być... Szczerze też wdzięczny był Koguciński Mateuszowi, że sobie poszedł i że go obecnością swoją nie kompromitował.

Znajomość z Abramem również nie mogła być uważana za zaletę Kogucińskiemu, jako gajowemu — ale ostatecznie jeszcze to uchodziło.

Abram jest żyd, a to zupełnie zmienia postać rzeczy. Sam hrabia-dziedzic ma żyda, plenipotent gó-

wny również, rządcą także, leśniczy nie inaczej — dlaczegóżby jeden Koguciński miał być tego przywileju pozbawiony?

Byłoby to niesprawiedliwie. Zresztą wiadomo, że Abram handluje skórkami, a Koguciński ma w kontrakcie wyraźnie, że wolno mu truć i tępić wszelkimi sposobami dzikie zwierzęta i szkodniki. Skoro wolno tępić, to wolno i skórki sprzedawać — stąd też wizyta Abrama może mieć niejakie pozory legalności.

Szli sobie tedy w dobrej komitywie, gawędząc, trochę żartując, a trochę o interesie mówiąc — zwyczajnie jak dwaj przyjaciele.

— Chciałbym jak najprędzej być u was w chałupie — rzekł Abram, wstrząsając się nerwowo.

— Tak wam o skórki chodzi?

— Co prawda, najbardziej o moją własną skórę, bo strasznie przeziębłem.

— Toć ognia na kominie nie brak, w lesie mieszkam.

— Aj, to dobrze... ale mnie i we środku bardzo zimno... zdaje mi się, że jestem, broń Boże, worek wypchany samą frybrą.

— Gorzałkę mam z kroplami, i taki znów spirytus, co nalany jest na brzozowe pączki, i taki, co na mrówki, i taki, co na żywokost, het precz od każdej słabości, i zioła leśne, insze do picia, insze do kadzenia, insze znów do czego innego, i skrom zajęczy, i borsukowe sadło i różne różności.

— Takiem prawem to wy macie więcej lekarstw, aniżeli nasz aptekarz w miasteczku.

— Więcej nie, ale lepsze, bo aptekarze najwięcej trzymają proszków doktorskich na lekką śmierć, a ja według poratowania zdrowia.

— Poratujcie mnie od frybry.

— A dawno was trapi?

— Tymczasem nie trapi, ale będzie trapiła; ja czuję, że ona już we mnie siedzi.

— Nic wam nie będzie, rozgrzejecie się w izbie.

Doszli do chałupki Kogucińskiego.

W pierwszej izbie przy kominie uwijała się baba lat średnich, krępa, przysadzista, o wejrzeniu ponurem i niechętnem.

— O! zawołała, ujrzawszy Abrama — tak rano wyszliście cyganić... co?

— Najpierw ja pani Kogucińskiej — odrzekł powiadam w grzeczny sposób „dzień dobry", zdrowia pani życzę.

— Eh! dzień, komu dobry, to dobry... a zdrowie mogę mieć z Boskiej łaski, nie z żydowskiej.

— Mnie się zdaje, co pani miała dziś przykre spanie...

— Jakie miałam, to miałam. Komu do tego zasię!

— Jagno — zaczął Koguciński, — nie bądź ty taka sprzeczna... dalibóg, słuchać niemiło.

— To sobie uszy zatkaj pakułami.

— Jagóś, pókim dobry...

— Bądź sobie zły... garnek z gorącą wodą jest...

— Na co państwo w kłótni macie być... — rzekł poważnie Abram — ja tu naumyślnie, w pani Kogucińskiej interesie, przyszedłem.

— Co?

— Żebym tak zdrów był.

— To gadajcie żywo.

— Wolę poczekać, aż pani będzie dobra... zresztą maleńki to interes.

— Czy duży, czy mały, trzeba powiedzieć.

— Po co? Ja nawet nie wiem, czy pani lubi korale; nawet wiem na pewno, że pani nie lubiła nigdy...

— Korali?

— No, takich czerwonych korali, co kobiety na szyi noszą.

— Pokażcie je żywo!

— Ja wcale nie powiedziałem, że mam korale przy sobie, tylko że przyszedłem rozmówić się według korali. Czasem bywa takie zdarzenie, że się trafia rarytna rzecz, a bardzo tanio...

Kogucińska zmieniła od razu humor i stała się nader uprzejmą. Wybiegła też zaraz do komory, żeby przynieść flaszkę z jakimś rozgrzewającym kordjałem.

Gajowy z podziwieniem spojrzał na Abrama.

— Skąd wam korale na myśl przyszły?

— Aj, panie Koguciński, niby z was wielki myśliwy, a takiej prostej rzeczy nie znacie. Wiecie, że wilka trzeba łapać na gęś, a nie możecie zmiarkować, że babę bierze się na korale.

Gdy Kogucińska powróciła do izby, Abram zaimprowizował na poczekaniu cały poemat o tych nadzwyczajnych, wyjątkowo pięknych koralach. One pochodzą z zagranicy, z takiego miasta, co nad wielkiem morzem leży. Kupione zostały przez jakąś bardzo bogatą hrabinę, która potem zapisała je swojej wnuczce, ta wnuczka później wyszła za mąż i zbiedniała. Korale znalazły się w zastawie, potem przepadły; nareszcie znalazły się i znów poszły w zastaw, później ukradli je. Złodziej sprzedał bardzo tanio, kupiła je i nosiła jedna bardzo znaczna kupcowa, ta kupcowa później podupadła i skapcaniała, a teraz można je kupić za darmo — i niezawodnie w księgach przeznaczenia zapisano, że właścicielką ich zostanie pani Kogucińska... Opowiedział dalej Abram, jak te korale wyglądają: są czerwone jak krew, bardzo czerwone, a każdy co do wielkości jest prawie taki jak orzech, a przynajmniej jak duży groch, albo wreszcie jak ziarnko pieprzu. Bywają przecie małe orzechy i duże ziarnka pieprzu... Ostatecznie najpierwsza dama może taką ozdobę na szyi zawiesić.

Kogucińska była nadzwyczaj zaciekawiona.

— Drogież one? — zapytała.

— Mówiłem pani Kogucińskiej, że tanie jak barszcz. Za marne pieniądze można je kupić. Żydówka nie zna się... sama nie wie, co ma. Zresztą nasze żydówki nie są amatorki na korale. Co innego perły. Moja żona przez siedm lat suszyła mi głowę, żeby jej perły kupić.

— Napijcie się, Abramie, wódki — rzekła baba, nalewając kieliszek.

— Aj, aj! owszem, bardzo chętnie. Niech będzie na zdrowie pani Kogucińskiej.

— Pijcie zdrowi.

Abram przeprosił gospodarzy, włożył czapkę i modlitwę krótką odmówił, potem wychylił kielich.

— Aj! — rzekł — teraz mi lepiej. Ja powiadam, że czasem kieliszek wódki wart jest tysiące. Teraz, panie Koguciński, możemy pogadać o skórkach; ja umyślnie za tem przyszedłem; wezmę wszystkie, ile macie... i lisie i tchórze.

— Dobrze.

— Tylko niech usłyszę od was ostatnie słowo.

Gajowy powiedział cenę, na którą Abram się oburzył.

— Jak żyję, nic podobnego nie słyszałem! — zawołał. — Co to jest... za głupiego tchórza żądać jak za niedźwiedzia... a za lisy! Żeby one z czystego jedwabiu szerść miały, jeszcze nie byłyby tyle warte. To jest świat! aj waj! czy to można handlować?... czy można żyć?...

— Ja nie odstąpię.

— Nie odstępujcie. Wasze skórki, wasza wola; moje pieniądze, moja wola. Ja też nie odstąpię. Tylko moje pieniądze nie zepsują się i będą zawsze pieniądze, a wasze skórki wylenieją i zmarnują się. Będziecie z nich mieli sobole... co w plecy kole.

— Nie kupicie wy, to kupi kto inny... Żydów na świecie dość...

— Owszem, może zawieziecie do Warszawy?... wieźcie. Tu koło nas nie będzie nikt Abramowi handlu psuł. Niech pani Kogucińska tę sprawę osądzi... teraz korale za bezcen, a on chce za skórki brać jak za złoto!

— Bo pewnie, że się za bardzo drożysz — wtrąciła baba.

Koguciński spojrzał na żonę zdumiony.

— Toć sama kazałaś — rzekł bojaźliwie.

— Ja? ani mi się śniło.

— Wyraźnie powiedziałeś, żebym się ani ważył, bo...

— Przywidziało ci się. Żeby inszemu żydowi, to rozumiem... ale Abram spokojny człowiek, krzywdyśmy od niego nie mieli...

— To jest słowo sprawiedliwe i mądre — rzekł Abram. — Zaraz poznać kobietę rozumną, choć tego po sobie nie pokazuje... W oczach ma złość, ale w sercu dobroć. Jak przemówi, myślałby kto, że smoła i siarka z niej leci, a to jest sam miód. Wy nie jesteście warci takiej kobiety, panie Koguciński, naprawdę wam powiadam.

— Bo mu też opuść, Janie, proszę cię.

— Ha, skoro tak żądasz, to opuszczę. Przybijam!

Klapnął Abrama w dłoń, aż się rozległo po izbie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Hej, nędzarzu!

Hej, nędzarzu, hej!...
Potoś biednym się urodził:
Byś się tułał, byś się głodził,
Byś z dnia na dzień żył,
Nędzarzu;
Od drzwi, do drzwi — zimą, latem,
Podpierając się sękatym —
Chodził resztą sił
Za warzą,
Za kawałkiem chodził chleba,
Gdyż przymusza cię potrzeba
Pod dach ludzi wleźć
Lękliwie,
Co na swojem gospodarzą —
A psem nieraz wyszczuć każą,
Zamiast dać ci jeść,
Życzliwie...
Giń, nędzarzu, giń!...
W nędzyś na świat się narodził —
W nędzy będziesz stąd odchodził
Do zacisznych stron,
Do raju..
Nikt po tobie nie zapłacze;
Chyba hukną ci puhacze,
Chyba jęknie dzwon..
Załkają
Stare drzewa na cmentarzu,
Gdy cię spuszczą w dół nędzarzu,
A zostaniesz sam —
W mogile.
Świat wykreśli cię z pamięci;
Nikt wspomnienia nie poświęci—
Boś był jeno — „cham"...
I — tyle...

Albatros.

Dusze zmarłe.

(Bajka z Andaluzji)

Pewna wdowa miała siostrzenicę, którą wzięła do siebie od maleńkiego dziecka i kochała jakby własną córkę.

Była to zacna panienka, pobożna i słodka, ale okropnie bojaźliwa i, prawdę mówiąc, nie bardzo mądra.

Co zaś najwięcej martwiło tę biedną kobietę, to nieustanny kłopot, co się stanie z dziewczyną na wypadek osierocenia. To też co dzień prosiła Boga, ażeby dał dobrego męża jej siostrzenicy.

Poczciwa ciotka pomagała w usłudze jednej sąsiadce, która trzymała stołowników. Otóż pomiędzy gośćmi był jakiś cudzoziemiec bogaty i przystojny, który raz przy stole powiedział głośno, że nie ożeni się, dopóki nie spotka panienki uczciwej, pracowitej i zręcznej do wszystkich kobiecych robót.

Ciotka nadstawiła uszów i w parę dni potem opowiada niby tak, ni stąd ni zowąd temu bogaczowi, że jej siostrzenica to jest taka zręczna do robót kobiecych, że mogłaby odrysować ptaka w locie.

Cudzoziemiec odpowiedział, że byłoby bardzo przyjemnie poznać się z tą utalentowaną panienką i że zaraz nazajutrz pójdzie ją zobaczyć.

Uboga wdowa pobiegła do domu i powiada siostrzenicy:

— Ty sprzątaj mieszkanie, wymyj podłogę, żeby mi tutaj było jak w szklance, i weź najładniejszą suknię, tę od niedzieli, bo jutro tu przyjdzie taki gość, jakiegośmy nie mogły nigdy się spodziewać.

Nazajutrz cudzoziemiec się stawił na słowie, i tak w rozmowie pyta się siostrzenicy, czy też ona umie prząść.

— Jakto? czy ona umie prząść? — zawołała ciotka. — Motki przędzy, to jej tak w rękach migają, jak paciorki w różańcu.

— Cioteńko, coś ty powiedziała? — mówi, kiedy obcy pan już odszedł, zostawiwszy trzy motki, ażeby je uprzędła — przecie wiesz dobrze, jak jestem niezręczną przy kołowrotku.

— Nie bój się, dziecko, wszystko pójdzie dobrze.

— To mi dopiero ciotka narobiła zmartwienia, biadała ciągle, zalewając się łzami.

— Rób sobie, co chcesz, ale musisz uprząść te trzy motki do jutra, cały twój los od tego zależy.

Dzieweczka poszła spać wieczorem, z największym bólem w duszy. Rzuciwszy się więc na kolana przy łóżeczku, westchnęła serdecznie, prosząc dusze zmarłe, ażeby ją miały w swojej opiece, a to dlatego, że miała zwyczaj codziennie modlić się o ich wybawienie z mąk czyścowych.

Kiedy tak się modli z największym zapałem, aż tu pokazały się jej trzy młode niewiasty, ubrane w bieli i cudnej piękności, które przemówiły do niej z największą słodyczą i kazały nie martwić się, albowiem one jej dopomogą, ażeby odwdzięczyć się za modlitwy codzienne, przez które wydobyła je z czyśca i wprowadziła do raju.

Potem każda wzięła jeden motek i w mgnieniu oka przerobiła go na nitki cieniutkie, jak pajęczyna.

Obcy pan, powróciwszy nazajutrz, nie mógł się wydziwić i takiej zręczności i takiej pracy.

— A czy nie mówiłam wielmożnemu panu — wołała wdowa, nie posiadając się z radości.

Wtedy on zapytał dzieweczkę czy umie szyć?

— Spodziewam się! — mówiła staruszka, nie dając nawet przyjść do słowa dziewczynie — igła to jej tylko miga w palcach, tak, że jej nawet nie widać.

Wtedy cudzoziemiec zostawił płótna aż na trzy koszule — i żeby się nie powtarzać, powiemy tylko, że nazajutrz znowu obstalował sobie żabot jedwabny, na którym chciał mieć piękny haft wyszyty.

Ale jak już poraz trzeci te dusze zmarłe przyszły haftować ten żabot, więc powiadają:

— Zrobimy i to, ale pod jednym tylko warunkiem.

— Jakim? — zapytała niespokojnie dzieweczka.

— Że nas zaprosisz na wesele.

— Czy ja mam wyjść zamąż?

— Tak — odpowiedziały — za tego pięknego cudzoziemskiego pana.

I tak się stało, jak mówiły, albowiem, jak obcy pan zobaczył ten żabot tak cudownie haftowany, że zdawało się niemożliwem, ażeby ręka ludzka coś podobnego zrobiła, tak delikatny, że nie znać było dotknięcia igły, a oprócz tego rysunek był bardzo estetyczny i bogaty, więc nie namyślając się dłużej, oświadczył się ciotce o rękę dzieweczki.

Staruszka omal, że nie zwarjowała z radości, ale dziewczyna za to płakała krwawemi łzami.

— Moja ciociu! a cóż będzie ze mną, jak ten mój przyszły mąż pozna, że ja nic a nic nie umiem?

— Daj pokój!... czego się martwisz, dusze zmarłe dotąd ci pomagały, to i później cię wyratują.

Ślub naznaczono za kilka dni, więc narzeczona wywiązując się z danego przyrzeczenia, wieczorem przy modlitwie zaprosiła dusze zmarłe na swoje wesele.

Właśnie, kiedy powróciwszy z kościoła, wszyscy zaproszeni wzięli się do tańca i zabawa szła w najlepsze, aż tu otwierają się nagle drzwi od salonu i wchodzą trzy staruszki takie brzydkie, takie pokurczone, że strach było na nie patrzeć.

Pierwsza z nich miała jedną rękę długą aż do samej prawie ziemi, druga była garbata i w pasie złamana, a trzeciej oczy wylazły prawie z głowy i czerwone były jak raki.

— Chryste Panie! — zawołał nowożeniec — któż to są te straszydła?

— To trzy ciotki mego ojca, poprosiłam je na wesele.

Więc pan młody, który był człowiekiem bardzo dobrze wychowanym, zaczyna z niemi rozmawiać:

— Niech mi pani powie — zapytał pierwszej — dlaczego ręka pani tak się wydłużyła straszliwie?

— Mój synu — odpowiedziała staruszka — to od tego, żem tak długo przędła.

Obcy pan wstrząsnął się, pomyślawszy, że i jego żona może mieć taką rękę, a potem zapytał drugiej, jakim sposobem tak się skurczyła i pochyliła?

— Mój synu — odrzekła — to od haftowania, przy krosienku tak się musiałam przekrzywiać, że tak mi teraz zostało.

Pan młody jeszcze gorzej się zadumał i, zbliżając się do trzeciej, zapytał, jak to się stało, że oczy jej tak wyszły z głowy i takie są czerwone?

— Mój synu — odpowiedziała, przewracając straszliwie oczami, temi okropnie czerwonemi oczami — to dlatego, że całe życie szyłam po całych dniach i nocach.

Jeszcze nie skończyła mówić, kiedy obcy pan uciekł do ślicznej swojej żony i powiada:

— Proszę cię! weź natychmiast twoje krosienka, wrzeciony, igły, nici i razem z naparstkiem rzuć w najgłębszą studnię i pamiętaj, żebym cię nie widział nigdy ani przy szyciu, ani przy hafcie, ani przy kołowrotku.

Panna młoda w głębi duszy złożyła najpokorniejsze dzięki duszom zmarłych, których niebiańską pomocą tak cudownie została uratowana. *W. Stop.*

KRONIKA.

Porwanie pięknej cyganki. Gdy w ubiegłym tygodniu banda cyganów, pozostająca pod wodzą wójta Mikołaja Michaja obozowała obok Monasterzysk, przeciągała tamtędy inna banda cygańska, bliżej Michajowi nieznana, która chociaż krótki czas tamże się zatrzymała nawiązując znajomość. Z tej właśnie bandy trzej cyganie uprowadzili żonę Michaja, Paulę. W nocy, gdy Michaja w swoim namiocie na baranicach spał z żoną Paulą, nagle pod płótno namiotu wtargnęli ci trzej cyganie i Michaję steroryzowali przy pomocy wyciągniętych doń browningów, tak, że on musiał być bezsilnym i cicho leżeć, patrząc co dookoła niego się dzieje. Napastnicy żonie jego dali do zażycia jakiś proszek, poczem ona na pół senna zabrała 1.800 złotych i 15 dukatów złotych, oddalając się z namiotu z napastnikami, którzy piękną Paulę wsadzili na koń i umkli, nie zostawiając żadnego śladu.



Wójt Michał Michaja twierdzi bowiem, że żona jego jest bardzo ładną cyganką i że ją kocha aż do utraty zmysłów, obawia się, by jej napastnicy nie wyrządzili jakiejś krzywdy. Przypuszcza, że członkowie innej bandy uprowadzili mu żonę w tym celu, aby on złożył im okup w znaczniejszej kwocie. Równocześnie z rozpaczą, jaka ogarnęła go z powodu utraty żony i znacznej gotówki, Michaja pociesza się tem, że jeśli żona Paula zdoła wymknąć się z rąk napastników, to napewno do niego powróci. Zna ona dobrze jego zimowy adres, gdyż Michaja ze swoją bandą każdej zimy przebywa w Warszawie na Marymoncie, gdzie dobrze jest wszystkim znany. Sprawą tą zajęła się policja.

Dwaj oszuści. Z początkiem czerwca b.r. na bruku lwowskim zjawili się dwaj bracia Jan i Henryk Domańscy. Przyjechali z Warszawy i zamieszkali w skromnym pokoiku przy ul. Działyńskich l. 12. Obaj oni poczęli prowadzić wesołe życie, nie wiadomo skąd czerpali pieniądze na bywanie po cukierniach i nocnych lokalach tanecznych. Jan przedstawiał się jako rezerwowy kapitan, Henryk zaś jako porucznik. Ponieważ obaj dobrze prezentowali się i umieli prawić piękne słówka, odrazu znaleźli powodzenie u kobiet uczęszczających na t. zw. dancingi i swoim sprytem weszli w jak najlepsze sfery towarzyskie. Wkrótce poczęli przedstawiać się jako „dziennikarze". Mianowicie zostali zbieraczami ogłoszeń pewnej gazety lwowskiej, subwencjonowanej przez byłą radę miejską i jakkolwiek nie mieli wielkich dochodów z otrzymywanej prowizji, trwonili większe sumy pieniężne. W lipcu bracia Domańscy przy pomocy pośredników małżeńskich pożenili się. Jan ożenił się z panną Z. G. z Jaryczowa, a Henryk z panną L. P. z Bóbrki. Umieli tak sprytnie otumanić obie rodziny, że nikt nie starał się zasięgnąć żadnych informacyj o kandydatach do stanu małżeńskiego. Od rodziców swych żon pobrali większe sumy rzekomo na kupienie we Lwo-

wie większych mieszkań i mebli, gdyż otrzymali intratne posady w jednej z wielkich instytucyj finansowych. Wyjechali więc po dwóch tygodniach do Lwowa, aby tu urządzić dla żon miłe gniazdka. Tymczasem po przyjeździe do Lwowa zaraz następnego dnia wyprowadzili się z mieszkania przy ul. Działyńskich, a mając po kilka tysięcy gotówki w kieszeniach opuścili Lwów, wyjeżdżajac w niewiadomym kierunku. Gdy obaj oni przez dwa tygodnie nie dawali żonom o sobie żadnej wiadomości, te przyjechały do Lwowa i poczęły szukać swoich mężów. Wtedy dopiero przekonały się, że padły ofiarą oszustw, wobec czego o całej historji zawiadomiły policję. Wydział śledczy policji państwowej przez dłuższy czas prowadził dochodzenia, poszukując oszustów po różnych miastach, lecz daremnie. Pokazało się, że nie byli to wcale bracia Domańscy. Obaj osobnicy jedynie pod to nazwisko podszywali się. Janem Domańskim był niejaki Jan Funkenstein, syn urzędnika bankowego w Warszawie, który jest żonaty i tam ma dziecko. Drugim oszustem jest również z Warszawy niejaki Henryk Kozłowski, tak samo żonaty. Obaj oni są międzynarodowymi oszustami, bawili nawet w Niemczech, a w Gdańsku i Sopotach uchodzili za niemieckich „baronów". W rzeczywistości zaś byli bolszewickimi szpiegami. Toteż we Lwowie żyli za sowieckie pieniądze, przyczem naciągali różne mężatki, od których wymuszali pieniądze za dyskrecję co do ich schadzek po cukierniach i randek. Za oszustami rozesłano listy gończe, gdyż w Warszawie nie można ich było odszukać.

Zięć zamordował teściową za to, że dużo jadła. We wsi Niwa gminy Osencie, powiatu nieszawskiego, mieszkała na t. zw. „alimentach" u swego zięcia Michała Kuźmińskiego 95-letnia Marja Przekwas. Staruszka ostatnie lata swego życia spędzała na modlitwie i była jeszcze dość rzeźka. Onegdaj rano najniespodziewaniej do policji miejscowej zgłosił się Michał Kuźmiński i, robiąc smutną minę, oświadczył, że przed chwilą stało się u niego nieszczęście, gdyż staruszka Marja Przekwas podczas drzemki spadła ze stołka i zabiła się. Opowiadanie to wydało się niezupełnie prawdopodobne, to też policja dokonała oględzin zwłok staruszki. Stwierdziła, że Przekwas ma siniaki, jakich nie mogła odnieść, spadając z niezbyt zresztą wysokiego stołka. Przy szczegółowych oględzinach ciała nieboszczki spostrzeżono, że staruszka ma przebitą szyję dużą igłą. Dalsze badania wykazały, że potworny zięć, nie chcąc karmić staruszki, której zabrał grunt za dożywocie, katował ją za to, że dużo jadła. Wreszcie zamordował. Potwornego zięcia natychmiast zakuto w kajdany i odesłano do aresztu w Nieszawie. Morderca jest jednym z zamożniejszych gospodarzy w okolicy, toteż oburzeni mieszkańcy wsi okolicznych omal nie zlynczowali Kuźmińskiego.

Ciekawe zdarzenie w Warszawie. Niebywałą sensację w Warszawie budzi ponura zagadka jednego z domów przy ul. Bagatela L. 1 na Mokotowie. W domu tym mieszkał krótki czas urzędnik bankowy Stefan R. wraz z żoną, kilkuletnią córeczką i służącą. Zajmował on tam dwa pokoje z kuchnią i łazienką, które nabył za bardzo drogą cenę i własnym kosztem odnowił. Obecnie jednak musiał on porzucić swe mieszkanie i przenieść się z rodziną do hotelu, gdyż przekonał się, że mieszkanie jego jest nawiedzane przez złośliwe duchy. Początkowo lokatorów tego mieszkania niepokoiły rozmaite szmery, pukania odgłosy czyjichś kroków i przesuwanych mebli. Później, a to jeszcze w sierpniu, zaczęło ukazywać się w mieszkaniu widmo wysokiego mężczyzny z dobrze zmaterjalizowaną górną połową ciała. Mężczyzna ów miał smagłą cerę, piwne oczy i szpakowate włosy. Pokazywał się kolejno wszystkim członkom rodziny p. R., najchętniej jednak przebywał koło łóżeczka córeczki państwa R. Bardzo często w nocy pani R. lub służąca jej budziły się z przeraźliwym krzykiem, a sam p. R. również często słyszał obok siebie szept, nakazujący mu zgasić światło. Jednocześnie rodzice z przerażeniem zauważyli, że dziecko zaczęło straszliwie chudnąć, tak, że w ciągu jednego tygodnia straciło 5 kg. na wadze. Zauważyli także na szyji dziecka maleńką rankę, niewiadomo skąd pochodzącą. Po każdej nocy dziecko budziło się coraz bledsze, z coraz widoczniejszymi śladami okaleczenia na szyji. Na tej podstawie państwo R. doszli do wniosku, że w mieszkaniu ich grasuje wampir i nie namyślając się dłużej, porzucili straszne mieszkanie i przeprowadzili się do hotelu. Równocześnie zwrócili się do sfer okultystycznych Warszawy z przedstawieniem całej sprawy. Jak się okazuje, mieszkanie, które zajmował do niedawna p. R. z rodziną, posiada ponurą i tragiczną prawdziwie historję. Wszyscy lokatorzy jego umierali śmiercią nienaturalną. Pewien oficer francuski, który zajmował to mieszkanie, popełnił samobójstwo. Następnego lokatora zmiażdżyła winda, a żona jego odebrała sobie z rozpaczy życie. Pewien młodzieniec znów popadł w tak silny rozstrój nerwowy, że dostał pomieszania zmysłów. Nietylko jednak stali mieszkańcy byli tu niepokojeni niesamowitymi objawami, ale również przygodni goście w tem mieszkaniu ulegali również tym samym objawom. Porucznik G., który mieszkał tam tylko chwilowo, pewnej nocy, gdy pracował w świetle, ujrzał nagle jakąś czarną zawoalowaną damę. Gdy ta na jego zapytanie nic nie odpowiedziała, porucznik strzelił do niej z rewolweru, lecz dama znikła momentalnie bez śladu, a oddana w jej kierunku kula utkwiła w ścianie. Cały ten wypadek budzi w Warszawie łatwe do zrozumienia zainteresowanie. Szczególnie wśród okolicznych mieszkańców mokotowskich stanowi on pierwszorzędną sensację i temat do równie sensacyjnych domysłów i pogłosek.

Żydzi, którzy wierzą w Chrystusa. Z Budapesztu donoszą: Od niedawnego czasu w stolicy Węgier powstała nowa sekta religijna, do której należą żydzi, wyznający jednakowoż Chrystusa. Nazywają się oni sami „żydami wierzącymi w Chrystusa". Przed kilku dniami za zezwoleniem policji, w jednym z domów żydowskiej dzielnicy budapeszteńskiej, odbyło się zebranie członków tej sekty żydowskiej, w którem to zebraniu brał udział chrześcijanin baron Paweł Podmaniczky. Wśród uczestników można było widzieć wiele osób z inteligencji, mianowicie lekarzy, adwokatów, nauczycieli, jak również słuchaczy krajowego seminarjum rabinackiego. Baron Podmaniczky oświadczył jednemu z dziennikarzy, że wstąpił do tej sekty z głębokiego religijnego przekonania. Żydzi, należący do tej sekty, uznają nietylko Stary, ale także i Nowy Testament. Zebranie sekty miało wielce interesujący przebieg. Odmówiono naprzód „Ojcze nasz" w języku hebrajskim. Modlitwę odmawiał głośno Abraham Feiks, który wśród budapeszteńskich żydów cieszy się wielkiem uznaniem, jako uczony w Talmudzie. Możliwe, że wszyscy ci żydzi przyjmą wkrótce chrzest św. gremjalnie.

Próba odmładzania w Wiedniu. W Wiedniu dokonano w ubiegłym tygodniu w sanatorjum „Hera" w obecności licznego grona lekarzy angielskich, czeskich, francuskich, amerykańskich, węgierskich i niemieckich oraz licznych przedstawicieli prasy operacji odmładzającej według systemu Dr Woronowa. Zabiegu odmładzającego pozwolili dokonać na sobie dwaj starcy w wieku 67 i 77 lat. Operacji, dla której Dr Woronow ofiarował pawjana ze swego instytutu, dokonał chirurg wiedeński Dr. Schweyer, uczeń Woronowa. Po godzinnej mozolne

pracy dokonano szczęśliwie transplantacji gruczołów pawjana na obu starców. Po trzech miesiącach musi się okazać, czy operacja się udała.

Śmiertelny wyścig. Pewien Berlińczyk chciał pozbyć się swego wiernego psa, który zapadł na nieuleczalną chorobę. Postanowił w niezwykły sposób pozbawić go życia. Zamiast psa oddać oprawcy, zaprowadził go do lasu, przywiązał do drzewa i na plecach umocował mu nabój dynamitowy. Po zapaleniu lontu oddalił się szybko. Pies jednakże jakby przeczuwając coś złego, ostatnim wysiłkiem zerwał linę i z nabojem o palącym się loncie na plecach puścił się w pościg za panem swoim. Nabój mógł każdej chwili wybuchnąć. Między panem a wiernym psem rozpoczął się wyścig na życie i śmierć. Będąc już u końca sił, zauważył Berlińczyk staw i nie zastanawiając się długo, skoczył do wody. Staw na nieszczęście był głęboki i biedny oprawca począł tonąć. Uratował go pies, który także skoczył do wody i wyciągnął na brzeg pana. Lont naboju dynamitowego zgasł oczywiście w wodzie, nie narażając już psa ani właściciela na utratę życia. Po tym wypadku Berlińczyk napewno zatrzyma psa, pielęgnując go tym razem do naturalnej śmierci.

Żmija w gardle. Kaukaz, kraj bardzo urodzajny obfituje też w wielką ilość rozmaitych węży, a przedewszystkiem żmij. Przed kilku dniami, gdy słońce ogrzało ziemię w pewnej wiosce, zasnął pastuszek snem smacznym na pastwisku. Spał twardo z otwartemi ustami. nie wiedząc nic co się koło niego dzieje.



Nagle przebudził go straszny ból w gardle. Podniósł rękę do ust i przekonał się, że z ust zwisa mu ogon żmiji. Dławiąc się szarpał za ogon i ciągnął go, by wyrwać z gardła gada, który podczas snu wpełzł do gardła, ale nadaremnie. Na krzyk pastucha przybiegli towarzysze, którzy również ciągnąć poczęli, urywając tułów, głowa jednak została w gardle. Czemprędzej pojechali do doktora, jednak nieszczęśliwy w drodze zmarł.

Chińczyk Benedyktynem. W starym klasztorze benedyktyńskim św. Andrzeja, w pobliżu Bruges, odbyła się w tych dniach jedyna w swoim rodzaju uroczystość. Oto pod przewodnictwem przeora zakonu i w otoczeniu wszystkich zakonników, przyjęty został w poczet członków klasztoru Benedyktynów były chiński premjer ministrów, Rene Lon Tseng Tsiang. Osobliwa ta uroczystość odbyła się przy licznej asyście, wśród której znajdowali się ambasadorowie chińscy z Brukseli, Paryża i Lizbony, tudzież rodzina nowego zakonnika. Nowo kreowany członek zakonu Benedyktynów, Lon Tseng Tsiang, stracił niedawno żonę, Belgijkę z pochodzenia, którą kochał bałwochwalczo. Gdy małżonka byłego premjera chińskiego znajdowała się w agonji, zrozpaczony jej śmiercią mąż przysiągł żonie, iż po jej zgonie usunie się z życia politycznego w zacisze klasztorne. I istotnie, wierny swej przysiędze, Lon Tseng Tsiang wstąpił obecnie do klasztoru Benedyktynów.

Tragiczna pomyłka wieśniaka. Ofiarą niezwykłego nieporozumienia padły dwa życia ludzkie na szosie publicznej, w odległości kilku kilometrów od Madrytu. Była to wczesna godzina poranna, 45-letni wieśniak Pablo Sartelez jechał na bryczce ku miastu, wiozący na targ kilka kojców z drobiem. Wtem oczom jego przedstawił się na szosie niezwykły widok. Oto na ziemi leżała młoda i piękna kobieta ze skrępowanemi rękoma i nogami, spowita falą czerwonych płomieni. Kobieta wiła się jak piskorz, usiłując uwolnić się z krępujących ją więzów. Na twarzy jej malowało się śmiertelne przerażenie, usta wykrzywiły się bolesnym grymasew bezgranicznego cierpienia. Mękom pożeranej przez ogień ofiary przyglądał się z demonicznym uśmiechem młody mężczyzna, siedzący w aucie. Grozę budzące położenie kobiety zdawało się nie budzić w nim najmniejszego współczucta. Przeciwnie, widać było, iż on musiał być właśnie sprawcą tych wyrafinowanych katuszy. Prócz tych dwojga osób spostrzegł wieśniak jeszcze dwóch panów. Jeden z nich, siedząc na drugiem aucie, wydawał jakieś dziwne rozkazy jak naprzyklad: „Niech pani krzywi się lepiej!“ „Co za głupią minę masz, Ricardo!“ „Wyglądasz jakbyś doznawała konwulsyj żołądkowych“. „Musisz okazać więcej demoniczności!“ „A pani, panno Eleno, niech się pani więcej rzuca!“ „Czy pani sądzi, że płomienie to są subtelne pocałunki miłosne? Więcej szczerości! więcej życia! Drugi pan stał przed jakimś pokracznym aparatem i kręcił z przykrym trzaskiem korbę. Wieśniak nie wiedział, co o tem wszystkiem myśleć. Zrozumiał tylko jedno. Oto jakaś biedna kobieta znajdowała się w niebezpieczeństwie, a ci okrutnicy dręczyli ją w bestjalski sposób.

— Hej! Co to ma znaczyć? — krzyknął. Jeśli nie chcecie mieć ze mną do czynienia, to w tej chwili uwolnijcie ją z więzów.

— Ruszaj precz, cymbale! — zawołał ów wymowny jegomość, który — jak łatwo się domyśleć — był reżyserem filmowym. Ale wieśniak hiszpański nie odznacza się bynajmniej potulnością.

Pablo skoczył z wozu, jednym susem skoczył ku kobiecie, wydobył ją z „płomieni“ i umieścił na pobliskiej trawie. Poczem rzucił się na reżysera i artystę filmowego, zadając obu śmiertelne rany nożem. Operator filmowy zdołał się uratować ucieczką. Po dokonaniu zabójstwa oczekiwał „bohater“ wyrazów wdzięczności od wyswobodzonej ofiary przemocy. Ale artystka poczęła mu wymyślać wśród płaczu, tłumacząc, iż wszystko było udane i zainscenizowane do obrazu filmowego. Wieśniak nie wiele wprawdzie wiedział o kinie, ale powoli zaczęło mu się rozjaśniać w głowie i zrozumiał, jaką tragiczną popełnił omyłkę. Pozostawiając kobietę losowi, odjechał szybko bryczką. Niebawem jednak odnalazła go policja i biedny obrońca płci pięknej zapłaci srogo za swój „rycerski“ poryw.

Najodważniejszy człowiek. Powiadają starzy ludzie, że mieć żonę, to wielka odwaga. Jest to wprawdzie żart tylko, ale jakżeż często zdarza się, że nie jest on żartem, lecz bolesną prawdą. Bywają bowiem kobiety, z któremi pożycie jest prawdziwem bohaterstwem. Z tego też powodu dla niejednego nawet jedna żona to już zadużo, a cóż dopiero powiedzieć o człowieku, który miał już 500 żon, a obecnie ma zamiar ożenić się z pięćset pierwszą. Musi on posiadać nielada odwagę. Tym prawdziwym bohaterem jest były sułtan turecki Mohamed VI. Należy on do najsilniej „obabionych“ ludzi na świecie. Mohamed VI przebywa obecnie w Genewie na wygnaniu. Kiedy jeszcze był sułtanem posia-

dał harem, złożony z 500 żon i odalisek. Harem ten został rozwiązany, a sułtanowi pozwolono ze sobą zabrać tylko cztery żony. Nie cieszył się niemi długo, gdyż jedna z nich odebrała sobie życie, druga zginęła we Włoszech w czasie katastrofy kolejowej. Podwójny wdowiec z rozpaczy po dwóch małżonkach postanowił się pocieszyć, pojmując pięćsetny pierwszy raz „jedyną najdroższą“ małżonkę w osobie 22-letniej Francuzki p. Julietty Lepeur, córki francuskiego kupca, zamieszkałego w Genewie. Ślub ma się odbyć tym razem według obrządku katolickiego. A cóż na to wszystko panna młoda? Oto zapytana przez jednego z dziennikarzy w tej sprawie oznajmiła:

— Sułtan i ja usiłowaliśmy utrzymać nasze plany w tajemnicy. Ludzie jednak wszystko wywąchali. Jestem przekonana, że będziemy bardzo szczęśliwi. Wprawdzie sułtan jest w tym wieku, że mógłby być moim dziadkiem, ale to niema nic do rzeczy, gdyż mężczyzna im starszy, tem kocha goręcej.

Narzeczona sułtańska zapytana, czy wie o tem, że jej przyszły małżonek posiadał już 500 żon, odparła:

— Naturalnie, że wiem, ale co mnie to właściwie obchodzi? Taktowne żona nie dopytuje się nigdy o przeszłość miłosną męża, a prawdziwie kochająca nie bada jego teraźniejszości.

Być może, że p. Lepeur sądzi, iż człowiek, który posiadał już tyle żon i dał sobie z nimi radę, posiada najwyższy dar uszczęśliwiania kobiet.

Raj bez mężczyzn. W jednym z ostatnich numerów „Roli“ pisaliśmy o odważnem przedsięwzięciu kilku obywateli amerykańskich, którzy chcąc się pozbyć kobiet i ich szkodliwych wpływów, postanowili udać się na bezludną wyspę i żyć tam bez przedstawicielek płci pięknej. Obecnie dowiadujemy się z pism amerykańskich, że i kobiety chętnie pozbyłyby się towarzystwa mężczyzn. W stanie Iova zapoczątkowano mianowicie w roku bieżącym akcję, zmierzającą do stworzenia „raju kobiecego bez mężczyzn“. Zaznaczyć jednak wypada, iż kobiety amerykańskie mniej są radykalne od mężczyzn, gdyż chcą się one zadowolić spędzaniem kilku tylko miesięcy zdala od mężczyzn. Urządzeniem raju kobiecego zajęło się biuro rolnicze z powiatu Cedar, a na próbę wybrano letnisko pod nazwą Palisade, do którego zaproszono żony i córki okolicznych rolników, oczywiście po uprzedniem porozumioniu się z mężami i ojcami zaproszonych. Akcja biura rolniczego spotkała się wśród kobiet miejscowych z bardzo przychylnem przyjęciem, tak że w krótkim czasie do zarządu biura zgłosiło się około 200 kobiet, które gotowe były zamieszkać przez pewien czas w raju kobiecym. A należy stwierdzić, iż letnisko dla kobiet w zupełności odpowiada wszelkim pojęciom raju. Niema tam rozwieszonych sznurów do bielizny, niema dzieci płaczących, za to płynie tam piękna rzeczka, w której obywatelki raju mogą się kąpać i pływać dowoli. Pierwszy dzień swego pobytu w raju spędziły kobiety amerykańskie na wzajemnem udzielaniu sobie rozmaitych „wywiadów“, innemi słowy mówiąc, na zwykłem plotkowaniu. A kiedy „zajęcie“ to się im znudziło, zaczęły uprawiać rozmaite sporty, jako to: wiosłowanie, pływanie, grę w piłkę i t. d. Do końca sierpnia ani jedna z kobiet nie zapragnęła porzucenia raju i powrotu na łono rodziny. Wynikałoby z tego, iż kobiety znakomicie się czują między sobą i absolutnie nie odczuwają braku towarzystwa męskiego. Być może, że zapomniały one już nawet o swych mężach, którzy, — jak pismo amerykańskie zapewnia, — z niecierpliwością oczekują powrotu swych małżonek, za które obecnie wykonywać muszą najrozmaitsze, nie należące do nich prace.

RZECZY CIEKAWE.

Małoletni bohaterowie.

Bardzo dawno już z pieniędzy, złożonych na ten cel przez miljardera Carnegiego powstała w St. Zjednoczonych organizacja, której celem jest rejestrowanie bohaterskich czynów i krzewienie kultu bohaterstwa. Organizacja ta ma bardzo wielki oddział i we Francji, znany tam pod nazwą „fundacji Carnegiego“. Przy organizacji tej istnieje specjalna komisja, która segreguje różne czyny bohaterskie. Dotąd naliczyła ich ona 2800; w ciągu lat dwudziestu więc we Francji 2.800 ludzi zostało odznaczonych za bohaterstwo (oczywiście, poza frontem walk wojennych). Z tej olbrzymiej stosunkowo liczby 278 nagrodzonych nie miało skończonych dwudziestu lat. Dziewczęta mają mniej sposobności do poświęcenia się, niż młodzieńcy, a jednak w tej liczbie 278 zajmują one sporo miejsca, jest ich bowiem razem 40; rzeczą znamienną jest, że więcej niż połowa tych bohaterek, bo 24, nie skończyła lat 15.

Zdarza się nieraz, że ci mali bohaterowie dokonywują akcji ratowniczej we dwu czy we dwoje, ale najczęściej działają sami, pod impulsem szlachetności. Zdarza się też, że ci bohaterzy przeceniają swe siły i że z kolei ich trzeba ratować. A bywa i tak, że płacą oni życiem za swe szlachetne serce. W takich wypadkach odznaczenie i nagrodę za bohaterskie dziecko otrzymują rodzice. Był np. wypadek, że dziesięcioletnia dziewczynka utonęła, śpiesząc na ratunek ojcu, któremu groziło utonięcie na lodzie z powodu odwilży. Innym znowu razem dziesięcioletnia również dziewczynka wpadła do rzeki, by ratować czteroletniego malca.

Lecz na liście bohaterów są i młodsze dzieci, chociaż dziewięcioletnich jest aż 18! Dziesięciu np. ma zaledwie po 9 lat, a i pośród nich są takie dzieci, które życiem przypłaciły swą ofiarność, siedmiu ma zaledwie 8 lat, a pośród nich są trzy dziewczynki. Przykłady bohaterstwa tych trzech dziewczynek są poprostu wzruszające do łez: jedna z nich ratuje z rzeki tonącego braciszka czteroletniego; druga ratuje młodą kobietę, która głową wpadła do zbiornika; trzecia zaś — to największa z nich bohaterka; siedzi ona zamknięta przez matkę w domu z dwojgiem młodszego rodzeństwa; w domu wybucha ogień, dziewczyna stara się go ugasić, że jednak próby te były daremne, więc budzi braciszka i siostrę, sama wychodzi przez okno, położone na wysokości niemal dwu metrów, poczem sprowadza rodzeństwo tą samą drogą!

Są też wśród bohaterów malcy siedmioletni, jest ich trzech aż w tym wieku! Jeden z nich się zapisał w tych wiecznie trwających kronikach: jego towarzysz zabaw wpadł do studni, chłopaczek więc pobiegł po drabinę, ledwo ją przyciągnął, bo była ciężka, opuścił do studni, a że była za krótka, więc musiał zawisnąć na rękach, by dostać pierwszego szczebla, szybko zbiegł po drabinie na dół, chwycił kolegę, który resztkami sił trzymał się na powierzchni wody, a że był zbyt słaby, aby go wynieść, więc podtrzymywał go, dopóki nie nadeszła pomoc. Bohaterów w wieku lat 6 jest czworo: dwie dziewczynki i dwu chłopców. Jedna z dziewczynek tych ratuje dwuletnie maleństwo z płomieni, druga ratuje przed niechybną śmiercią dziecko, którego o mało nie rozjechał pędzący z olbrzymią szybkością samochód.

Fundacja Carnegiego bardzo szczegółowo interesuje się tymi bohaterami, bada ich dusze i charak-

ter i ułatwia naukę, nie zapominając o nich i w przyszłości. Pomiędzy tymi, którymi fundacja opiekuje się szczególnie troskliwie, znajduje się Żermena Berlu, córka dróżnika, miała ona lat 14, gdy rzuciła się na ratunek małemu bębnowi, który znalazł się na torze w chwili, gdy pędził pociąg. Żermenę chwyciła lokomotywa, doznała też ran badzo poważnych w głowę i stos pacierzowy. Już trzy lata minęło od tej chwili, a biedna dziewczyna, która cierpiała całemi miesiącami niewypowiedzianie, dziś jeszcze chodzić musi w gorsecie ortopedycznym. Ale pracuje, uczy się, a jako olbrzymie bogactwo ma przeświadczenie, że spełniła coś najszczytniejszego w życiu, umiała poświęcić się, umiała zaryzykować życie i zdrowie ratując bliźniego.

Jaka kobieta jest najszczęśliwsza?

Pewne włoskie czasopismo rozpisało ankietę, celem stwierdzenia, jaka też kobieta jest najszczęśliwsza na świecie. W odpowiedzi na tę ankietę nadesłano cały szereg odpowiedzi, z których podajemy tutaj najbardziej charakterystyczne:

Najszczęśliwszą jest ta kobieta, która po 30-letniem małżeństwie może być jeszcze zazdrosną o swego męża.

Ta, która swego męża sadowi na tronie, ale berło zachowuje dla siebie.

Najszczęśliwszą kobietą była Ewa, ponieważ nie miała rywalek i była panią raju.

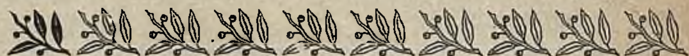
Żadna kobieta nie jest najszczęśliwszą, ponieważ żaden mężczyzna nie zadowala się miłością i posiadaniem jednej tylko kobiety. Dlatego też żadna kobieta nie może być pewną, że jest naprawdę i jedynie kochaną.

Wolno żyć tylko 40 lat.

W Rosji w górach Uralu istnieje od setek lat stary zwyczaj, który ogranicza trwanie ludzkiego życia do 40 lat. Czy mężczyzna czy kobieta, kto tylko obchodzi 40 swe urodziny, ten żywcem pogrzebany. Tradycja o tem mówi, co następuje: W pierwszej połowie XVI stulecia okolica położona między Uralem a Morzem Kaspijskiem była zamieszkała przez mongolskie plemię Nogajców, znanych też z napadów na nasze rubieże. Tworzyli oni część owej słynnej Żółtej Hordy mongolskiej, która po stracie Astrachanu i Kazania cofnęła się do wnętrza środkowej Azji. W tym samym czasie południowa część Uralu została nawiedzona przez licznych zbiegów kozackich, którzy nie chcieli uznać panowania Moskwy. Tam pomieszali się Kozacy z Nogajcami i stworzyli niezależne państwo.

Gdy Rosjanie rozpoczęli podbój owego państwa, ludność nie mogąc oprzeć się przewadze, wywędrowała na północ w góry Uralu. Zapomniane przez setki lat, mieszkało to niezależne plemię, tworząc też religijną sektę, jedną z tych licznych sekt rosyjskich i tam na podłożu owej rosyjskiej melancholji bez jutra i niezbadanych tajników mongolskiej duszy powstał ów straszliwy zwyczaj. Tak więc już każde dziecko, które wśród nich wyrasta wie, że w 40 roku życia musi odejść z tego świata i przyjmuje ten los bez sporu, z zupełnem poddaniem się, jako wolę Najwyższego.

Naturalnie religijne ceremonje towarzyszą temu okropnemu pogrzebowi. Ci, którzy zostali przeznaczeni do odejścia, którzy ściągnęli na siebie „zbrodnię“ dojścia do lat 40 udają się w uroczystym pochodzie w towarzystwie krewnych i przyjaciół w znaną im dobrze od dziecka piwnicę śmierci. Wielkie drzwi dębowe zamykają się za nimi i zostawia się ich tam skazanych na śmierć głodową. Po kilku miesiącach wydobywa się wychudłe zwłoki i grzebie na cmentarzu.



Wszystkich prenumeratorów prosimy o adresy osób, któreby mogły „Rolę“ zaprenumerować, a numera okazowe im prześlemy.

Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Pp.: **„Yoga“** w K. i **Wł. Marko** w K.: Rozwiązania zagadek z Nru 40 „Roli“ do Redakcji nie nadeszły. — **Maryla „Widz“**: List Pani przeczytałem z prawdziwą przyjemnością i rozumiem Panią zupełnie dobrze. Tak to często bywa, że człowiek znajduje się wśród tłumu ludzi, a przecież czuje się bardziej samotny, aniżeli w jakiejś odludnej pustyni. A szczęście ludzkie, toć mrzonka nieuchwytna! O ile otoczenie ciągnie z kogoś korzyści materjalne, to mu pochlebia i przyjaźń udaje, a gdy nie widzi dla siebie żadnej korzyści, to ten, kto ci powinien być najbliższy, drzwi przed tobą zamyka i znać cię nie chce. W takich wypadkach pozostaje praca i... marzenia. Że mam pracy poddostatkiem, zgadła Pani, ale też praca dla mnie nie nowina i pracę lubię. Przed południem pracuję w szkole, po południu w redakcji pisma codziennego, a wieczorami czytam nadesłane listy do „Roli“, układam artykuły, poprawiam je, a jeszcze nieraz jakiś wierszyk z pod serca się wydobędzie, aby ulecieć do Czytelników, a jeszcze chętniej Czytelniczek „Roli“. Obydwa utwory Pani, a więc: „Idę w dal“ i „Sierota“ zostały włączone do utworów konkursowych. I jeszcze jedno: Niech Pani wierzy mi, że listy z taką serdecznością pisane ja czytam z prawdziwą przyjemnością, a więc gdy tylko Pani smutno, niech Pani pisze do... „Roli“. — **Wincenty Kuglin:** „Wyprawy Stacha“ nie otrzymaliśmy. — **Florjan Ciebiera** w Rz.: Utwór konkursowy otrzymaliśmy. — **Henryk Bilka Głobicki** w L.: Jesień tysiąc razy lepiej opisano, więc szkoda wybierać taki oklepany temat. — **Józef Krzyszkowski** w K.: Nadesłany nam wiersz ma wszelkie warunki, jakie wiersz posiadać powinien, a przecież jakoś ciężko się go czyta. Najlepiej używać formy lirycznej, gdyż takie wiersze najchętniej bywają przez naszych Czytelników czytane. — **Jan Kłapa** w D.: „Smutno mi smutno“ — pisze Pan w swoim „wierszu“, a nam jeszcze smutniej, że się Pan wogóle do pisania wierszy zabiera. Poco to paskudzić piękną polską mowę. — **Janina Kraskówna** w K.: Niech Pani nie dba na gadania ludzkie. Wystarczy, że ma Pani czyste sumienie, a to grunt. — **„Pagórski“** w Rudawie: Utwór konkursowy otrzymaliśmy. Wynik podamy w pierwszych dniach listopada, prawdopodobnie w Nrze 46 lub 47. — **Wincenty Kuglin** w K.: Utwór konkursowy otrzymaliśmy. — **Józef Serafin** w M.: Niestety „Święto umarłych“ przyszło zapóźno, a szkoda. Jeżeli ktoś chce, aby okolicznościowy utwór był drukowany we właściwym czasie, trzeba go przysłać conajmniej dwa tygodnie wcześniej. — **Wł. Ch.** w Cz.: Budowa wiersza dobra, ale brak w nim właściwej treści. Prosimy próbować dalej. Żądany adres brzmi: J. L. Lanckorona. — **Lonka Zenger** w W.: Utwór „Ten drugi“ otrzymaliśmy tuż przed zamknięciem numeru tak, że jeszcześmy go przeczytać nie zdołali. — **Ludwik St. Unsing** w B.: Będzie w następnym numerze. — **Walek Kowalczyk** w S.: Wierszy na konkurs nie przyjmujemy. Drugi utwór włączyliśmy do konkursowych. — **Antoni Noworyta** w A.: Radjo kosztuje około 70 zł. nadto trzeba kogoś, ktoby Panu druty rozpiął, ale to w firmie, w którejby Pan kupował możnaby ugodzić. Za pozdrowienie dziękujemy i wzajemnie Pana pozdrawiamy. — **L. Marć** z G. R.: Do Kanady „Rolę“ posłaliśmy. — Dziękujemy. — **Z. Kwinta** w Z.: Do końca roku brak jeszcze 1 zł. 80 gr. — **Jan Sosna** w Ch.: Wspomnianej broszury jeszcze nie mamy — właśnie się o nią staramy, a gdy tylko mieć będziemy prześlemy Panu. — **Antoni Szymański** z H.: Według życzenia „Rolę“ zaczęliśmy wysyłać od 1-go b. m., o ile Pan nie otrzymał, to prosimy upomnieć się w gminie. Numera zaległe o których mowa możemy Panu wysłać za 6 zł. i o ile Pan płacić będzie ratami, to i my częściowo wysyłać będziemy. Wierszyk z początku dobry, wkońcu nie rymuje. Zagadki dwie zamieścimy później. —

Zofja Stosówna w W. D.: Niestety, zapóźno. Zachowamy do przyszłego roku. — **Kachna Ł. Łza:** Powieść dobra, ale dla „Roli" za trudna. Nakładcy mają zbyt dużo materjału. „Świat duchów" będzie w najbliższym numerze. — **„Orlica":** Dziękujemy, dobre. — **St. Nowak** w K.: „Strachy" nadeszły. — **Bartek z pod lasu:** Utwór konkursowy otrzymaliśmy. — **Katarzyna Jackiewicz** w B.: „Na progu szczęścia" otrzymaliśmy. — **Jan Bylica** w K.: Wiersz dobry, w miarę miejsca umieścimy.

Wszyscy Czytelnicy kupujący „Rolę" w agencjach gazet, a nie mający dla kompletu wszystkich numerów „Roli", mogą je otrzymać po nadesłaniu 25 groszy za każdy egzemplarz. Można nadsyłać także znaczkami pocztowemi w listach. Całe kwartalniki (13 egzemplarzy) taniej, bo za 2 zł. 60 gr.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Katarzyna Jackiewicz z Bogucic 1 zł. dla Maćka na korespondencję miłosną, Stanisław Czaja ze Szczurowej na szczoteczkę dla Maćka 2 zł., Jan Chmiel z Zebrzydowic 2 kor. cz. dla Maćka.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 25 paźdz. b. r.

Pszenica .	50·50—51·50	Słoma długa	6·50—7·00
Żyto . .	00·00—00 00	Ziemniaki stoł.	8·00—9·00
Owies . .	34·00—35·00	Koniczyna na- sienn. czer.	00·00—00·00
Jęczmień .	38·00—40·00		
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	22·50—23·00
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	62·00—62·50

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryfy.

I.

☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Szczyt w Tatrach.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Środek leczniczy.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Święta księga.
☆ ■ ☆ Owad.
☆ ■ ☆ Imię cygańskie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Ruch powietrza.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Narodowość.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Kraj w Grecji.

Litery środkowe dadzą miasto europejskie.

II.

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Europie.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆ Dwie łodzie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Fala morska.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ Marynarz.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ Człowiek egzotyczny.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Miasto.

Litery zamiast kwadracików dadzą nazwę morza.

III.

☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆ Kościół.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆ Drzewo.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆ Choroba.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆ Wybór.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆ Dostojnik wojsk.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.

Litery środkowe dadzą miasto polskie.

2. Szarady.

(Ułożył Gabrjel Wirstnik ze Szczawnicy).

I.

Pierwsza i druga miejscowość biblijna,
Zaś trzecia druga, zwrotka melodyjna,
A kto z was ubogiemu trzecie na koszulę,
Po całość trzeba jechać na drugą półkulę.

II.

Gdy ci pierwsze drugie słabe, skłopotanyś srodze,
Zwłaszcza że wiesz czwarte trzecie znajdą się na drodze.
A tu w lesie halny wiatr zrządził drugie trzecie,
Czwarte wspak krzykniesz na pewno, mówiąc źle na świecie!
Lecz się nie martw bracie miły, to tylko szarada,
Z której całość ładne miasto w Polsce Ci wypada.

III.

Któżby z nas nie znał pierwszego trzeciego,
Który w domu gospodarza, prawie u każdego
Jest zazwyczaj pożytecznym, lecz i szkodnik czasem,
Zwłaszcza w kuchni gospodyniom, mówimy nawiasem
Zato drugą trzecią rzadziej oglądacie,
Chyba, że w totalizatora sobie gdzie zagracie.
Całość okaz jeszcze rzadszy, mieszka we wszechświecie,
Nie dam nawet konia z rzędem jeśli odgadniecie.

IV.

Trzecie pierwsze wiecie, a drugie zgadniecie —
Drugie pierwsze przecie, samo przez się trzecie.
Na całość gdy zechcecie, to .. zapolujecie.

V.

Pierwszy, drugi, trzeci, nadto część czwartego,
Nazywał się drugie trzecie, no i pół pierwszego,
Zaszedł raz do ogródka, gdzie go powitała
Druga trzecia czwarta, która nań czekała,
Wnet pierwsza i druga stanęła na stole,
Podziwiali całość spojrzawszy hen w pole,
Która tam ćwiczebne harce wyprawiała,
A od dawna w Polsce chlubną kartę miała.

VI.

Pierwsze ziółko użyteczne, dosyć pospolity,
Toteż chętnie je zbierają dziewczęta, kobiety,
W lecie świeży, a na zimę się go konserwuje,
Potem z niego dobre rzeczy kuchnia preparuje,
Jeśli całość, co nie trudno, gładko odgadniecie,
Trzecie trzecie no i drugie bardzo mi będziecie.
Bowiem całość, to miejscowość w Polsce bardzo miła,
Którą dotąd znaczna rzesza ludzi odwiedziła.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy w nagrody dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 6 listopada.

Znaczenie zagadek z Nru 42 „Roli": 1. Logogryf: Jadwiga Smosarska. 2. Szarady: Kiełbasa. Kometa. Pomyje. 3. Zagadki: Skok-koks. Trok-kort. 4. Przestawianka: Niema tego złego, coby na dobre nie wyszło.

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązanie:

Zjadł Maciek kiełbasę popiwszy araku,
Wszedł z Kaśką do Srula kupić kilka raków,
Tam spotkał Smosarską siedzącą w hamaku,
Jak się stroiła z występem na Kraków.
To amor, nie baba, pomyślał nasz Bzdura,
To z panien filmowych prawdziwa kometa, —
Niech żyje, niech żyje, wolnej Polski córa,
Prawdziwie piękna na ziemi kobieta.
Wtem wyszła służąca, wylała pomyje,
Na wagę bluznęła, na jamę i drągi, —
A przecież z tych pomyj i świnia utyje, —
Sprzedawszy, zapłacisz podatek i sągi... —
I koks kupić można dla kowala z końca,
I dobić do portu szczęśliwie w podróży...
Do Włoch, bo u nas, już brak będzie słońca...
Już koniec, niech się rym bardzo nie dłuży...
Książeczkę chcę dostać powiem przysłów wiele,
Na gwiazdkę Maćkowi kupię kilo śledzia,
Niech se szczęśliwie z swą Kaśką je zmiele, —
I idzie z kolędą, udając niedźwiedzia.

J. Kapuściński.

Oprócz tego dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: „Yoga" z K., J. Wojtowicz z P., Wł. Marko z K.

Nagrody wylosowali pp.: J. Kapuściński z L. i Jan Wójtowicz z P.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni «Czasu» w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Wielki Ilustrowany Kalendarz Powszechny

Do nabycia w Administracji „Roli". — Cena wraz z przesyłką pocztową 2 zł. 75 gr.

Do nabycia w Administracji „Roli" również WESOŁY KALENDARZ „Figielki" Cena zł. 1.40.

Pieniądze na kalendarz nadsyłane przekazami pocztowemi prosimy nadsyłać na konto pocztowe „Roli": 406.301 z dopiskiem „Na kalendarz".

W nowy rok.

— Przyszedłem panu pożyczyć w nowy rok!
— Oj! To dobrze, bo takim goły, że aż strach.
— Żeby pan był zdrów i miał dużo pieniędzy!...
— Phiii...



Szczera rada.

A więc radzicie mi Piotrze, abym wyszła za Jaśka?

— Co znowu Kasiu! Chociaż widzisz bardzo nienawidzę tego „dąbszczyka", życzę mu wszystkiego najgorszego w życiu, jednak nie radzę Ci wychodzić zamąż za tego łobuza.



Z kroniki towarzyskiej.

Ślub panny Aliny Herniczówny z p. baronem Ryszardem de Beaudettes odłożony został ze środy na piątek, gdyż pan młody nie posiada jeszcze dostatecznych środków do życia.

Dobry strzelec.

Gajowy: — Oj, panie baronie, teraz znów mnie pan trafił!

Baron: — Zawsze, gdy celuję do zająca, trafiam w pana! Czekaj pan, będę teraz celował do pana, może trafię zająca.



W sądzie.

Przewodniczący sądu do oskarżonego:

— Z powodu braku dostatecznych dowodów kradzieży zegarka, jesteście uwolnieni.

Oskarżony nie rusza się z miejsca i stoi niezdecydowany, jakby miał jeszcze coś do powiedzenia.

— Nie jesteście zadowoleni? Na cóż jeszcze czekacie? — pyta przewodniczący — przecież jesteście wolni.

— Dziękuję — odrzecze obwiniony — ale raczy mnie pan prezydent objaśnić, czy zegarek zostaje przy mnie, czy też mam go zwrócić?

Aby ułatwić zachęcanie do zaprenumerowania „Roli" wszystkim nowym Prenumeratorom dajemy numera dla całości rocznika z I., II. i III-go kwartału po 2 zł. 60 gr. Prenumerata kwartału bieżącego kosztuje 3 zł. 40 gr.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: Konto pocztowe 406.301 Kraków.

Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli“ posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.

Wyszła z druku broszurka p. t.

Ze strun duszy, Z kwiatów polnych, Z przędzy dymu.

zawierająca utwory poetyckie naszych współpracowników i przyjaciół »Roli« **Ireny Trzaskowskiej** z Łucka **Kachny Łęczynianki** i **Donata Lesiowskiego**. Cena egzemplarza 45 groszy wraz z przesyłką poczt. Do nabycia w Administracji »Roli«.

Nowe wydawnictwa.

„Kiedy Anhelli wstępował na Wawel“ napisał Robert Rydz. Przepiękny ten poemat powinien znaleźć się w każdej bibljotece. Do nabycia w Administracji „Roli“ lub u wydawcy. Cena 1 zł.

Gdy wyczytasz ogłoszenie
I uczynisz zamówienie.
Pisz wyraźnie i powoli,
Żeś to czytał w naszej Roli.

OKŁADKI NA „ROLĘ“ twarde, mocne, gustownie wykonane z wybitym rokiem w cenie 2 zł. wraz z przesyłką pocztową wysyła Administracja „Roli“. Wysyłka następować będzie partjami po 25 sztuk.

Przy przesyłaniu pieniędzy należy zaznaczyć na co są przeznaczone.

Rozszerzajcie „Rolę“
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły.